

# KUŹNICA

## TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 5 zł.

POLSKA POWINNA CAŁĄ SWOJĄ SIŁĘ SKIEROWAĆ KU OBRONIE KRESÓW ZA-CHODNICH, ZAMKNAWSZY WSCHODNIE GRANICE SWEGO ZASIĘGU PLEMIENNEGO. DRANG NACH OSTEN MUSIMY ZMIENIĆ NA DRANG NACH WESTEN. TAM JEST ZBAWIENIE, SIŁA I BEZPIECZEŃSTWO POLSKI.  
Aleksander Świętochowski.

Rok I

Lódź, 2 grudnia 1945 r.

Nr 14

WEADYSŁAW BRONIEWSKI

### NIC WIĘCEJ

Cóż tam zostało? Zwalony dom,  
zwyczajne życie, podobne snom,  
i na cmentarzu matki mej grób,  
i ziemia zdana wrogom na łup —  
ziemia zielona, ziemia najdroższa  
błogosławiona słońcem Mazowsza, —  
i pochód szumnych topól nad Wisłą,  
gdzie mi na chwilę szczęście zabłysło,  
gdzie ta, co serce me trzyma w ręce...  
I już nic więcej? Chyba nic więcej.

Cóż mi zostało? Tęsknić i iść,  
tulać się — wiatrem porwany liść —  
i słuchać szumu biblijnych rzek,  
a we śnie widzieć wiślany brzeg,  
i walczyć walczyć! — ale nie we śnie —  
o ziemię, którem stracił we Wrześniu,  
o dom zwalony, o zwykłe życie,  
o grób mej matki do śmierci bić się  
i serce złożyć w kochane ręce...  
"o mi zostało. Chyba nic więcej.

### A KIEDY BĘDĘ UMIERAĆ...

A kiedy będę umierać,  
skoro umierać mam,  
ty nie bądź przy tem i nie radź:  
już ja potrafię sam.

Ja chcę mieć oczy otwarte  
i podniesioną skroń,  
chcę umrzeć ot tak — na wpół żartem  
a w ręku niech będzie broń.

Niech mi przywieją wiatry  
brzęczenie dalekich pszczoł,  
niech Wisłę zobaczą i Tatry,  
wszystko com kochał i czuł.

Wystarczy, żeby mnie uciąć,  
czyjś krótki, serdeczny płacz.  
Przyjaciele niech przyjdą narzucić  
na trupa żołnierski płaszcz.

niechaj złożą mnie w ziemię czerstwą  
tam gdzie padnę — na świecie gdzieś,  
niechaj wspomną moje żołnierstwo  
i niepodległą pieśń.

a potem niech idą w pola  
ojczyste krew przelać z żył.  
Taka jest moja wola\*  
Potem śpiewał i żył.

JÓZEF WITTLIN

### STABAT MATER

Stała matka boleściwa — na rynku  
Przy swym martwym, powieszonym synku.

Stała w światła przeraźliwej pustce  
Polska matka w służacowskiej chustce.

Nie płakała i nic nie mówiła,  
Zimne oczy w zimne zwłoki wbiła.

Wisiał bosy, z wszystkiego wyzuty.  
Niemcy przedtem zabrali mu buty.

Będą w butach jej syna chodzili  
Po tej ziemi, którą pohańbili.

Po tej ziemi, którą umęczona  
Stoi — patrzy — i milczy — jak ona.

Stabat Mater, Mater Dolorosa,  
Gdy jej synów odcinali z powroza.

Kładła w groby, głuche jak jej noce, —  
Martwe swego żywota owoce.

Stabat Mater, Mater Nostra, Polonie,  
Z cierni miała koronę, na skroniach.

ZOFIA NAŁKOWSKA

# MEDALIONY

## PROFESOR SPANNER

Tego rana byliśmy tam po raz drugi.  
Dzień był pogodny, majowy, chłodnawy.  
Wiatr od morza szedł rzeźki, coś sprzed  
lat przypominał. Za drzewami szerokiej  
wyasfaltowanej alei stał mur ogrodzenia,  
za nim ciągnął się rozległy dziedziniec.  
Wiedzieliśmy już, co przyjdzie nam zoba-  
czyć.

Tym razem towarzyszyło nam dwóch  
starszych panów. Ci przyszli w charakte-  
rze „kolegów” Spannera — obaj profeso-  
rowie, obaj lekarze i uczeni. Jeden wyso-  
ki, siwy, o twarzy szczupłej i szlachetnej,  
drugi równie duży ale przy tym tegi i  
ciężki. Jego pełna twarz wyrażała dobro-  
duszość i jakby zatroskanie.

Ubrani byli dość podobnie i nie po na-  
szemu w czarne, długie wiosenne palta z  
dobrej wełny. Na głowach mieli miękkie,  
również czarne kapelusze.

Skromny, nieotynkowany domek z cegły  
stał w rogu podwórza, na uboczu, jako nie-  
ważny pawilon dużego gmachu, w którym  
mieścił się Instytut Anatomiczny.

Naprzód zesłaliśmy do rozległej ciemna-  
wej piwnicy. W pochylonym świetle, idącym  
od dalekich, wysoko umieszczonych okien,  
umarli leżeli, jak wczoraj. Ich ciała nagie,  
żółtawe, młode podobne były do twar-  
dych rzeźb. Były w doskonałym stanie,  
mimo, że czekały tu już od szeregu mie-  
sięcy na chwilę, w której wreszcie prze-  
stanały być potrzebne.

Leżeli jak w sarkofagach, w cemento-  
wych długich basenach z uniesionymi po-  
krywkami — wzdłuż, jedni na drugich. Mieli  
ręce opuszczone wzdłuż ciała, nie złożone  
na piersiach według pogrzebowego rytua-  
łu. A głowy odcięte od torsów tak równo,  
jakby byli z kamienia.

W jednym z tych sarkofagów leżał na sto-  
sie umarłych znany już „marynarz” bez  
głowy — młodzieniec wspaniały, wielki,  
jak gladiator. Na jego piersi szerokiej wy-  
tatuowany był kontur statku. Poprzez syl-  
wetki dwóch kominów przechodził napis  
wiary daremnej: Bóg z nami.

Mijaliśmy jeden za drugim baseny peł-  
ne trupów, a obaj cudzoziemscy panowie  
szli także i także patrzyli. Byli lekarzami  
i lepiej od nas rozumieli, co to znaczy.  
Na potrzeby Instytutu Anatomicznego przy  
uniwersytecie wystarczyłby zapas czter-  
nastu trupów. Tu było ich trzysta pięćdzie-  
siąt.

Dwie kadzie zawierały same głowy, od-  
cięte od tamtych ciał. Leżały jedne na dru-  
gich niby zesypane do dołu ziemniaki —  
jak popadło: jedne bokiem, jak się leży  
na poduszce, inne twarzą w dół albo na  
wznak. Były żółtawe i gładkie, też świet-  
nie zakonserwowane, też równiutko od  
karku odcięte, jak z kamienia.

W rogu jednej kadzi spoczywała na  
wznak ta nieduża, kremowa twarz chłop-  
ca, który w chwili śmierci mógł mieć o-  
siemnaście lat. Lekko skośne ciemne oczy  
nie były zamknięte, tylko zaledwie spuszc-  
zone. Pełne usta, barwy tej samej, co  
twarz, ułożyły się w wyraz cierpliwego,  
smutnego uśmiechu. Brwi równe i wyraź-  
ne, czarne, jak włosy, unosiły się ku skro-  
niom jakby z niedowierzaniem. Został tam  
w tej najdziwniejszej, przechodzącej jego  
kompetencję sytuacji w oczekiwaniu na  
ostateczne orzeczenie świata.

Dalej były znowu baseny z umarłymi  
a później kadzie z ludźmi, przeciętymi na  
pół, pokrajany na części i odartymi ze  
skóry. W jednym tylko basenie leżały o-  
sobno i daleko nieleczone zwłoki kobiet.

Poza tym w podziemiach obejrzelśmy je-  
szcze parę basenów pustych, zaledwie wy-  
kończonych, bez pokryw. Oznaczały, że  
zapasy trupów, potrzebnych żyjącym, był  
nieodstateczny, że istniał zamiar powięk-  
szenia całej imprezy.

Później z obu profesorami przeszliśmy  
do czerwonego domku i tam widzieliśmy  
na wyiębłym palenisku ogromny kocioł,  
pełen ciemnej cieczy. Ktoś obyty z tere-  
nem uchylił pokrywę i pogrzebaczem wy-  
ciągnął na wierzch ociekający płynem,  
wygotowany tors człowieka, odarty ze  
skóry.

W dwóch innych kotłach nie było nic.  
Ale w pobliżu na półkach oszklonej szafy  
leżały rzędem wygotowane czaszki i pi-  
szczele.

Widzieliśmy też skrzynię, a w niej uło-  
żoną warstwami, — oczyszczoną z tusz-  
czu, spreparowaną cienką skórą ludzką.  
Na półce słoje z solą kaustyczną, przy ścia-  
nie wmontowany w mur kocioł z zaprawą  
i duży piec do spalania odpadków i kości.

Wreszcie na wysokim stole kawałki my-  
dła białawego i chropowatego i parę me-  
talowych, powalanych zeschniętym mydłem  
foremek.

Nie wchodziliśmy już tym razem na  
strych po drabinie, by oglądać tam zale-  
gające wysoko polepy zypisko czaszek  
i kości. Zatrzymaliśmy się tylko chwilę na  
tej części dziedzińca, gdzie widać ślady  
spalonych doszczętnie trzech budynków,  
szczątki pieców metalowych typu kremato-  
ryjnego i bardzo licznych rur i przewo-  
dów. Wiadomo, że i czerwony domek pod-  
palono już dwukrotnie. Za każdym razem  
jednak powstający pożar dostrzeżono i  
ugaszono.

Wyszliśmy razem z profesorami, którzy  
od razu odłączyli się od nas i prowadzeni  
przez kogoś nieznanego udali się w swo-  
ją drogę.

2

Przed Komisją zeznaje człowiek młody,  
chudy i blade, o wyraźnych oczach nie-  
bieskich, przyproszony na badanie z  
więzienia.

Mówi z namysłem, poważnie i smutnie.  
Mówi jednak po polsku, z akcentem ob-  
cym, cokolwiek grasejując.

Mówi, że jest Gdańszczanin. Po ukończe-  
niu szkoły powszechnej skończył sześć  
klas i zrobił małą maturę. Był ochotni-  
kiem, był harcerzem. Na wojnie dostał się  
do niewoli i uciekł. Pracował na ulicy przy  
śniegu, potem w fabryce amunicji. Też  
uciekł. Rzecz na ogół dzieje się w Gdań-  
sku.

Niemiec zamieszkał u jego matki, gdy  
ojca zabrali do obozu koncentracyjnego.  
Ten Niemiec dał mu pracę w tutejszym  
Instytucie Anatomicznym. I tak dostał się  
do profesora Spannera.

Profesor Spanner pisał książkę o Ana-  
tomii i wziął go na preparatora trupów. W  
uniwersytecie miał wykłady, taki kurs  
preparatorski dla studentów. Wydawał  
swoją książkę, dla tej książki pracował.  
Jego zastępca, profesor Wohlmann też  
pracował — nie wie, czy dla jakiej książ-  
ki, czy tak...

Ta oficyna była wykończona w roku  
1943 na Palarni. Spanner wtedy postarał  
się o maszyny do oddzielania mięsa i tusz-  
czu od kości. Z kości miały być robione  
kościotrupy. W roku 1944 profesor Span-  
ner kazał żeby studenci zbierali tuszcz z  
trupów osobno. Co wieczór po skończeniu  
kursów, jak studenci odeszli, robotnicy  
zabierali talerze z tuszczem. Były też ta-  
lerze z żyłami i z mięsem. Więc mięso wy-  
rzucali albo palili. Ale ludzie w mieście  
skarżyli się policji, więc wtedy profesor  
kazał, żeby palili w nocy, bo za duży  
smród był.

Studenci mieli także powiedziane, żeby  
skórę całkiem czyszcili już odjąć, póź-  
niej tuszcz czysto, później według książki  
preparatorskiej muskuły aż do kości.  
Tuszcz wybierany przez robotników z ta-  
lerzy później został leżeć całą zimę, a póź-

niej, jak studenci wyjeżdżali, był przez  
pięć — sześć dni wyrobiony na mydło.

Profesor Spanner zbierał również skórę  
ludzką. Mieli ją ze starszym preparatorem  
von Bergen wyprawiać i coś z niej robić.

— Starszy preparator von Bergen to był  
mój bezpośredni przełożony. Zastępca pro-  
fesora Spannera był doktor Wohlmann.  
Profesor Spanner był cywilem, ale zgłosił  
się do SS jako lekarz.

Gdzie jest teraz doktor Spanner, więzieli  
nie wie.

— Spanner odjechał w styczniu 1945 r.  
Jak odjeżdżał, kazał nam tuszcz zbierany  
w semestrze dalej wypracować, kazał nam  
porządnie mydło i anatomię robić i sprzą-  
tać, żeby ludzko wyglądało. Receptu nie  
kazał sprzątać, może zapomniał. Mówił, że  
wróci, ale już nie wrócił. Pocztę jak wy-  
jechał, posyłał mi do Halle an der Saale,  
Anatomisches Institut.

Siedzi zeznając na krześle pod ścianą,  
naprzeciwko okien, w świetle. Jest całko-  
wicie widoczny — w swych zastanowie-  
niach i namysłach, w usilnej chęci, aby  
dokładnie powiedzieć wszystko jak było,  
by nie opuścić nic. On jest jeden, a nas  
jest osób kilkanaście: członkowie komisji,  
miejscowe władze, sądownicy. Nadmiar  
gorliwości sprawia, że niekiedy bywa nie-  
jasny.

— Co to jest recepta?

— Recepta wisiała na ścianie. Asystent-  
ka, która była ze wsi, przywoziła stamtąd  
recept na mydło i wypisała. Nazywała się  
Koiłtek. Asystentka techniczna. Ona też  
wyjechała, ale do Berlina. Oprócz recepty  
była jeszcze notatka na ścianie. To napi-  
sał von Bergen. Ona dotyczyła zupełnego  
oczyszczenia kości do wyrobu kościotru-  
pów. Ale kości się nie udało, zniszczyły  
się. Albo była za duża temperatura albo  
za silny płyn — zatroszczył się jeszcze tym  
dawny kłopotem.

— Mydło z recepty zawsze się udało.  
Tylko raz się nie udało. To ostatnie, co le-  
żało w Palarni na stole, ono nie jest udane.

Sama produkcja mydła odbywała się w  
Palarni. Kierował produkcją sam doktor  
Spanner ze starszym preparatorem von Ber-  
gen. Z tym, co jeździł po trupy. Czy jeź-  
dziłem z nim? Tak jest. Jechałem tylko  
dwa razy. I do więzienia w Gdańsku też  
raz.

Trupy przywozili naprzód z domu wa-  
riackiego, ale później nie starczyło tych  
trupów. Wtedy Spanner rozpiął wszędzie  
do burmistrzów, żeby trupów nie grzebać,  
tylko że przyszło po zwłoki Instytut. Przy-  
wozili ze Stuthoffu z obozu, z Królewcą  
na śmierć skazanych, z Elbląga, z całego  
Pomorza. Dopiero jak w gdańskim więzie-  
niu wystawili gilotynę, to już było dosyć  
trupów...

Przeważnie to były trupy polskie. Ale  
raz byli i wojskowi niemieccy, ścięci w  
więzieniu podczas uroczystości. A raz  
przywieźli cztery czy pięć trupów i naz-  
wisko było rosyjskie.

Trupy von Bergen przywoził zawsze w  
nocy.

— Co to była za uroczystość?

— Uroczystość była w więzieniu. Po-  
święcenie gilotyny. Zaproszony był szef  
Spanner i różni goście. Szef wziął starsze-  
go preparatora von Bergen i mnie. Dla-  
czego mnie wziął, nie wiem, bo nie by-  
łem zaproszony. Goście przyjechali aut-  
mi i przyszli piechotą. Weszli do tej sali.  
Ale my tam nie weszliśmy, tylko musieli-  
śmy czekać. Myśmy już oglądali gilotynę  
i szubienicę do wieszania. To wtedy byli  
ci czterej wojskowi niemieccy skazani na  
śmierć. I podobno święcił ksiądz niemiecki.

Widziałem jak wpuścili jednego więź-  
nia. Kajdanki z tyłu, boso, czarne nogi, tyl-  
ko spodnie, a tak był nagi. Była fioletowa

zasłona, za nią drugi pokój i prokurator. Starszy preparator rozmawiał później z katem i opowiadał. Więc słyszeli mowę prokuratora, szum, jakieś rozciąganie, tupanie — jakby ktoś biegł. I uderzyło żelazo. Kat meldował, że wyrok wykonany. A my już widzieliśmy, jak czterech trupów wynieśli w trumnie otwartej.

Czy to był ksiądz przy tym poświęceniu, ja nie wiem. Ale mówili, że jeden wojskowy w mundurze to był ksiądz.

Na jeden raz to z tego więzienia von Bergen przywieźli z Wohlmannem sto trupów.

Ale później Spanner chciał trupów z głowami. Nie chciał też rozstrzelanych, za dużo koło nich było roboty, zawsze zaśmiardły. Jeden na przykład niemiecki wojskowy przyszedł skazany na śmierć. Ten miał nogę złamaną i przetrzeźloną. A był też i bez głowy. Wszystkie na raz. Z zakładu warszawskiego to były trupy z głowami.

Spanner schował zawsze trupy na zapas. Bo jak później było za mało trupów, więc wtedy już musiał brać trupów bez głów.

Ten wielki marynarz bez głowy to jest z gdańskiego więzienia. Trupy przecięte wpół są dlatego, że całe nie chciały wejść do kotła, nie chciały się zmieścić.

Człowiek jeden da tłuszczu może z pięć kilogramów. Tłuszcz przechowywał się w Palarni w basenie kamiennym. Ile?

Myśli długo, chce być jak najbardziej dokładny.

— Jeden i pół cetnara.

Ale zaraz dodaje:

— Tak było dawniej. Ale ostatnim razem było mniej. Jak już zaczęli cofać się do Rzeszy, — to był może jeden cetnar...

O produkcji mydła miał nikt nie wiedzieć. Spanner zabronił mówić nawet studentom. Ale oni tam zaglądali, potem może jeden drugiemu powiedział, więc wiedzieli... A nawet raz tak było, że do Palarni zawołali czterech studentów i z nimi gotowali. Ale na codzień dostęp do produkcji miał szef, starszy preparator, ja i dwóch robotników, Niemców. Mydło gotowe brał doktor Spanner i on nim dysponował.

— Mydło gotowe?... No, jak się zrobi — ono naprzód jest miękkie, no to musiało ostygnąć. Wtedy musieliśmy pokrajać... I Spanner zamknął mydło na klucz. Tam było nie samo mydło, maszyną tam stała. Chodziliśmy w pięciu. A inni musieli prosić o klucz, gdy chcieli wejść.

— Dlaczego sekret?

Nad tym zastanawia się dłużej. Pragnie odpowiedzieć wedle najlepszej swej wiedzy.

— Może się Spanner bał albo co... — rozważa w skupieniu. — Moja myśl jest taka, że gdyby się ktoś dowiedział cywilny w mieście, to może by był z tego jakiś bałagan...

Mogło się здаwać, że i tu rozwieszona jest między nami a nim jakaś „fioletowa zasłona”. Nie było na niego sposobu.

I ktoś zapytał wreszcie:

— Czy nikt wam nie powiedział, że robienie mydła z tłuszczu ludzkiego jest przepięknym?

Odparł z zupełną szczerością:

— Tego mi nikt nie powiedział.

To jednak daje mu do myślenia. Nie od razu odpowiada na dalsze pytania. Wreszcie jednak robi to bez niechęci.

— Owszem, przyjeżdżali różni do Instytutu i do Spannera. Profesor Klotz, Schmidt, Rossmann do niego przyjeżdżali. Był raz minister zdrowia w Instytucie Higieny i minister oświaty, też był gausleiter Forster. Jako rektor całej Akademii Medycznej przyjmował ich profesor Grossmann. Niektórzy byli, jak ten dom jeszcze nie stał, więc oni zwiędzali tylko Anatomie, badając, jaka jest Anatomia, czy czego może brak. A chociaż już była Palarnia — no, to mydło zostało zawsze po czterech, pięciu dniach sprzątane. Nie mogę mówić, czy widzieli to mydło. Mogli widzieć. I w czasie inspekcji recepty zawsze wisieli. Więc jak czytali, to chyba wiedzieli, co tam gotują.

Tak, szef kazał mi robić to mydło z robotnikami. Dlaczego mnie? Nie wiem. O Spannerze jak tak zamykał to mydło, to sam myślałem, że on robi jakieś szaberstwo. Gdyby miał pisać w swojej książce o mydle, to by nam tak nie zabronił o tym mówić. Może on sam przyszedł na tę ideę, żeby robić mydło z resztek?... Chyba nie dostał na to polecenia, bo wtedy by się nie musiał sam starać o receptę...

Z tych rozważań nie wynika żadna pewność.

— Co studenci?... Tak, jak my. Każdy się bał tym mydłem myć na początku... Obrzydzenie było do tego mydła. Zapach miało nie dobry. Profesor Spanner bardzo się starał, żeby ten zapach ustał. On pisał do chemicznych zakładów, żeby przysłali olejki. Ale zawsze czuć było, że to nie takie mydło.

— Owszem, mówiłem w domu... Z początku nawet jeden kolega widział: miałem dreszcz, że można się tym myć. W domu mama też się obrzydzała. Ale się dobrze mydliło, więc go używała do prania. Ja się przyzwyczaiłem, bo było dobre...

Na jego chudej, wybladłej twarzy pojawia się wyrozumiały uśmiech.

— W Niemczech można powiedzieć ludzkie umięją coś zrobić — z niczego...

3

Po południu wezwaliśmy obu starych profesorów lekarzy, kolegów Spannera, na przesłuchanie. Rozmowy odbyły się w obrębie terenu ich pracy, w pustej salce jednego z gmachów szpitalnych.

## E. WARGA

# PRZEBIEG CYKLU PRZEMYSŁOWEGO PO SKOŃCZONEJ WOJNIE W EUROPIE

Przepowiadać już teraz przebieg powojennego cyklu przemysłowego, zwłaszcza wobec braku wielu danych statystycznych, które by mogły scharakteryzować obecną sytuację ekonomiczną, byłoby przedsięwzięciem zbyt śmiałym. Niemniej jednak metoda marksistowska i znajomość sytuacji gospodarczej, jaka nastąpiła po pierwszej wojnie światowej, jak również dostateczna ilość danych statystycznych charakteryzujących gospodarkę USA, czynnik decydujący w całości światowej, kapitalistycznej gospodarki, pozwalają dokonać analizy naukowej wymienionego problemu a w ogólnych choćby zarysach przewidzieć przebieg powojennego cyklu przemysłowego. Byłoby, rzecz prosta, niewłaściwością sądzić, iż po wojnie tej po prostu powtórzą się wydarzenia jakie miały miejsce po pierwszej wojnie światowej; różnice między ówczesną a obecną sytuacją są zbyt poważne. O różnicach tych szczegółowiej będzie mowa niżej.

Za punkt wyjścia należy przyjąć fakt, że każda wojna światowa przerywa bieg cyklu przemysłowego, wyklucza na cały czas wojny cykliczność wytwórczości przemysłowej, wytwarza fazę wysokiej koniunktury swoistego rodzaju. Wynika to z faktu deformacji gospodarki pod wpływem wojny. W czasie pokoju najtrudniejszym dla kapitału problemem jest zagadnienie realizacji kosztów towarów, przejście od postaci towarowej do pieniężnej. Problem realizacji, inaczej mówiąc problem rynku, nie istnieje podczas wojny. Zapotrzebowania wojska znacznie przewyższają możliwości produkcyjne, które w czasach pokoju pozostają niewyżytkowane z braku zbytu. Podczas wojny współczesne państwo wyletuje na rynku jako nabywca o nieograniczonych możliwościach nabywczych. W czasach gospodarki wojennej przedsiębiorca dba nie o zbyt towaru, lecz o zamianę kapitału finansowego na kapitał produkcyjny, troszczy się o zdobywanie elementów kapitału produkcyjnego: siły roboczej, surowca, środków produkcji i transportu. Produkcji kapitalistycznej nie ogranicza zdolność nabywca społeczeństwa, jak to się dzieje w czasach pokoju, przeciwnie, ograniczenie produkcji powoduje ograniczenie przemysłowej i nieprzemysłowej konsumpcji ludności cywilnej.

Im dłużej trwa wojna, tym bardziej zdolność nabywca społeczeństwa przewyższa jego zdolność produkcyjną. Wartość całkowitego pochłoniętego, a więc nie odnawiającego się więcej w tej postaci kapitału produkcyjnego (nie może on bowiem powrócić do tej postaci wskutek braku surowca, maszyn i siły roboczej) gromadzi się w postaci kapitału finansowego na rachunkach bankowych. Identyfikując rzecz się ma z dochodem przeznaczonym na oszczędności. Dochody robotników, pracowników, urzędników i oficerów nie mogą być wskutek braku przedmiotów konsumpcji całkowicie wydatkowane; pozostają one w postaci wkładów oszczędnościowych głównie w kasach. Ogromne te sumy akumulowanej zdolności nabywcy czekają końca wojny, by z chwilą uchylenia państwowych norm regulujących rzucić się na rynek towarowy.

Wszystko przemawia więc za tym, że po ukończeniu wojny i pokonaniu krótkotrwa-

Obaj — badani z osobna — oświadczyli, że o istnieniu budynku, mieszczącego ukrytą fabrykę mydła, nie było im wcale wiadomo. Oglądali ją tego rana po raz pierwszy i widok ten wywarł na nich wstrząsające wrażenie.

Obaj — badani z osobna — oświadczyli, że Spanner, człowiek najwyżej 40-letni, był w zakresie anatomii patologicznej poważną nauką. O jego stronie moralnej nie mogli nic powiedzieć, znając go od niedawna i rzadko widując. Wiedzieli tylko, że należał do partii.

Zeznając siedzieli z dala od nas na odosobnionym krześle, z wyraźnym przygnębieniem na twarzy. Każdy siedział, nie zdjawszy swego czarnego palta, czarny kapelusz przytrzymując ręką na kolanach.

Obaj mówili roztrzęsionymi i ostrożnie. Obaj, mówiąc, wszystko, brali pod uwagę. Gdańsk o tej majowej porze był jeszcze pełen Niemców, ulicami przeciągały zastępy jeńców niemieckich, obsypywanych kwiatami przez ich kobiety. Ale władze były polskie, a w garnizonie stały wojska sowieckie.

Na zapytanie, czy znając Spannera z jego działalności naukowej, mogli być przypuścić, iż jest to człowiek, zdolny do wyrabiania mydła z ciał umarłych skazańców i jeńców, każdy jednak odpowiedział inaczej.

Ten wysoki i szczupły o siwej głowie i rysach szlachetnych po dłuższym namyśle oświadczył:

— Tak, mogłem być to przypuścić, gdybym wiedział, że taki otrzymał rozkaz. Byłoby bowiem wiadomo, że był karnym członkiem partii.

Drugi — ten tusty, ciężki i dobronudny, o cerze różowej i wiszących policzkach — także namyślał się długo. I po namyśle — wszystko niejako zważywszy w swym sumieniu — odpowiedział:

— Owszem, mogłem to przypuścić. Z tego mianowicie powodu, że Niemcy przeżywały wówczas wielki brak tłuszczów. Więc względy na stan ekonomiczny kraju mogły go do tego skłonić.

Zofia Nalkowska

tych trudności przejściowych, związanych z przejściem od gospodarki wojennej do pokojowej, fala zwykła zapoczątkowała nowy cykl. Tak istotnie było po pierwszej wojnie światowej, okres zwykły produkcji był jednak krótkotrwały. Podajemy poniżej indeksy produkcji przemysłowej następujące bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Dla okresu wojennego nie posiadamy ogólnych indeksów produkcji (1913 r. = 100):

Lata	USA	Anglia	Francja	Niemcy
1919	120,3	—	57	57,8
1920	126,1	100,2	62	55,1
1921	95,2	67,6	55	66,3

Liczby te wskazują na krótkotrwałość okresu zwykłego po zakończeniu pierwszej wojny światowej (za wyjątkiem Niemiec, gdzie miała miejsce silna inflacja). Miesięczny indeks produkcji wykazuje, że produkcja osiągnęła szczyt:

w USA — w marcu 1920 r.  
w Anglii — w pierwszym kwart. 1920 r.  
we Francji — w listopadzie 1920 r.

A więc wzrost produkcji w dwu najpoważniejszych krajach kapitalistycznych — USA i Anglii trwał zaledwie 15 miesięcy po zakończeniu wojny!

Co się tyczy państw Europy kontynentalnej, zbiedniały one (w dosłownym znaczeniu) wskutek wojny z wyjątkiem państw neutralnych do takiego stopnia, że przewaga środków nabywczych w postaci rachunków bankowych i oszczędności w kasach jak również gotówki prowadziła zamiast do wzrostu produkcji, do inflacji. Mimo istnienia realnego popytu na towary, produkcja mogła się rozwijać bardzo wolno, gdyż w państwach tych (Niemcy, Francja, Polska, Austria, Węgry) zabrakło materialnych warunków produkcji — surowca, maszyn, transportu, nie mówiąc już o zaburzeniach socjalnych. Swego czasu scharakteryzowałem sytuację gospodarczą tych państw jako „Kryzys niedoprodukcji” biorąc pod uwagę, że niski poziom produkcji nie był wynikiem nadprodukcji, braku popytu na towary, jak to ma miejsce przy „normalnych” kryzysach nadprodukcji — był natomiast spowodowany przez brak środków produkcji, a więc zużycie tych państw.

Przytoczone liczby wykazują nadto, że w żadnym kraju Europy (w przeciwieństwie do USA) podczas krótkotrwałej wojennej fazy wzrostu produkcji nie osiągnęła ona jednak poziomu produkcji przedwojennej. Przedwojenny poziom osiągnięty został dopiero na parę lat po kryzysie 1920 — 1921 r.: we Francji w 1924 r., w Niemczech w 1927 r., w Anglii dopiero w 1929 r., a więc tuż przed kryzysem światowym 1929-33. A więc po wojnie potrzeba było 6, 9 i 11 lat, by przodujące państwa Europy osiągnęły przedwojenny poziom produkcji.

Chciałbym podkreślić swoisty charakter ruchu cen w czasie pierwszej wojny światowej i w czasie powojennym.

W krajach o stałej walucie — USA i Anglii — ceny hurtowe wzrosły w czasie

pierwszej wojny światowej ogólnie biorąc w dwójnasób, po krótkim okresie wzrostu bezpośrednio po wojnie ceny rosły znacznie wolniej. Najwyższy poziom cen został osiągnięty w USA w styczniu 1920 r., w Anglii zaś w marcu 1920 r.

Są jednak fakty ważniejsze: w okresie kryzysu 1920 — 1921 ceny wprawdzie znacznie spadły, nie osiągnęły jednak poziomu z 1913 r., mimo że w związku ze zwiększoną wydajnością pracy cena towarów jednakowej jakości (a więc ułokowany w nich czas pracy) wyraźnie spadły. Spadek cen powinien był osiągnąć poziom poniżej poziomu z 1913 r., jednakże potęga monopolii oraz to, iż wśród wydatków produkcyjnych cały szereg (podatki, dzierżawa, transport) utrzymał się na wysokim poziomie z okresu wojny, utrzymały ceny towarów na poziomie wyższym niż w 1913 roku. Sztuczne popieranie wysokich cen w czasie kryzysu 1920 — 1921 niewątpliwie sprzyjało pogłębieniu i zaostreniu kryzysu 1929 — 1933.

Porównując gospodarcze skutki pierwszej a obecnej wojny światowej dla świata kapitalistycznego, można z całą pewnością stwierdzić, że deformacja kapitalistycznej gospodarki pod koniec obecnej wojny światowej jest znacznie poważniejsza niż w 1918 r. Wojna 1914 — 1918 była raczej wojną europejską, światową zaś nazwana została z powodu udziału w niej — formalnego zresztą — państw pozaeuropejskich. Poza Europą odbywały się działania wojenne, które nie miały większego znaczenia.

Z punktu widzenia gospodarczego USA, państwa południowo-amerykańskie, Japonia, Chiny były w istocie państwami neutralnymi. (USA wystawiły wprawdzie znaczną armię, czynny jednak jej udział w działaniach wojennych był nieznaczny, straty w ludziach — minimalne). Druga wojna światowa jest naprawdę światową, gdyż wielkie masy ludności całego świata brały w niej udział. Liczebność armii była znacznie wyższa, niż w czasie wojny poprzedniej. Działania wojenne toczyły się na czterech lądach. Wydatki wojenne — i to nie tylko wyposażone w gotówce, ale i w realnej ich wartości — są obecnie bez porównania wyższe, ponieważ uzbrojenie jest obecnie znacznie bardziej skomplikowane i potężniejsze niż wtedy (czołgi, wojska zmotoryzowane, flota powietrzna, które były nowością w czasie pierwszej wojny światowej, mają obecnie szerokie zastosowanie).

Okoliczność jeszcze bardziej doniosła, spustoszenia wojenne w czasie pierwszej wojny światowej ograniczyły się do obszarów północno-wschodniej Francji (nie licząc Rosji), obecnie zaś zniszczenia ogarnęły całą Europę i część innych lądów. Zjednoczenie świata kapitalistycznego będzie więc po obecnej wojnie znacznie silniejsze. Zaostrzy się jednocześnie różnica między sytuacją gospodarczą państw, które nie były terenem działań wojennych, a więc w pierwszym rzędzie USA, państwami angielskimi, częściowo Anglią, południowo-amerykańskimi państwami i państwami europejskimi, które zachowały neutralność, a położeniem kapitalistycznych

państw, zaatakowanych przez Niemcy na terenie Europy, zniszczonych, zubożonych, a gospodarce zachwianej i podupadłej.

USA (jak również Kanada, Zw. Połud.-Afrykański i inne) — wychodzą z tej wojny z powiększonym i ulepszonym aparatem produkcyjnym, podczas gdy w krajach Europy, które były terenem działań wojennych, aparat ten jest zużyty lub zniszczony, miasta i transport w znacznej mierze zniszczone.

Dlatego też kraje należące do pierwszej grupy okazały się „krajami nadprodukcji”, podczas gdy w krajach zniszczonych powstanie „kryzys nieprodukcji”, przy czym tereny objęte przez ostatnią grupę państw będą większe niż w poprzedniej wojnie. Dzięki stosunkom gospodarczym z ZSRR „kryzys nieprodukcji” w krajach z nim sąsiadujących będzie miał przebieg łagodniejszy.

Anglia zajmuje poniekąd pozycję pośrednią. Nie była ona terenem działań wojennych, poniosła jednak znaczne straty materialne wskutek nalotów. Podczas wojny utraciła ona bądź też wydała znaczną część kapitałów ulokowanych za granicą i wyjdzie z wojny zadłużona w dominiach i koloniach. Zgodnie z dość powszechną opinią ekonomistów angielskich, Anglia zmuszona będzie zwiększyć eksport w 50 proc. w porównaniu z przedwojennym by móc importować żywność i surowiec niezbędny dla osiągnięcia przedwojennej stopy życiowej. Będzie ona musiała stosować nader elastyczną politykę gospodarczą, by zapewnić wystarczający żywność i surowców i żywności.

Istnienie w USA powiększonego i udoskonalonego aparatu produkcyjnego oraz „odłożonego” popytu co najmniej na 50 miliardów dol. wywoła tam po wojnie niewątpliwie krótkotrwały okres pomyślnej koniunktury, jak to miało miejsce po pierwszej wojnie światowej. Ujawni się popyt w pierwszym rządzie na przedmioty zbytku: samochody, chłodziarki, przybory elektryczne, meble itp. towary, których produkcja w czasie wojennym była ograniczona lub zakazana. Popyt na przedmioty pierwszej potrzeby — żywność, odzież, obuwie — nieznacznie przewyższy normalny, ponieważ produkcja tych towarów była w małym stopniu tylko ograniczona.

Popyt na środki produkcji będzie przeciwnie prawdopodobnie mniejszy niż przed wojną, ponieważ w czasie wojny aparat produkcyjny USA znacznie się powiększył. Nowy aparat produkcyjny według nowych cen przedstawi wartość około jednej trzeciej wartości aparatu przedwojennego, przy czym należy brać pod uwagę wyższą produkcję nowych możliwości nowych a więc i nowoczesnych zakładów nad zakładami przedwojennymi, przy tych samych kosztach budowy. W ciągu trzech lat (1941 — 1943) amerykański przemysł maszynowy wyprodukował 700 tys. warsztatów. Odpowiada to wartości 15-letniej produkcji przedwojenną w latach dobrej koniunktury. Ale w czasach wojny z Niemcami produkcja warsztatów spadła z najwyższego punktu 130 mil. dol. miesięcznie w grudniu 1942 r. do około 60 mil. dol. miesięcznie w początkach 1944 r. Według opublikowanego — z pewnością wygórowanego — szacunku istniejących w USA warsztatów starczy na 10 lat pokojowego zapotrzebowania. Znaczna część nowopowstałego aparatu produkcyjnego należy, zresztą, do przemysłu wojennego i do państwa. Rząd USA ulokował w przedsiębiorstwach przemysłu wojennego około 16 miliardów dol. Roosevelt w przemówieniu swym z dn. 26.9.1944 r. oznajmił, że po wojnie należy oddać przedsiębiorstwa państwowe w ręce prywatnych firm. (Wątpimy jednak czy te firmy zechcą je przejąć; większą korzyść dla nich przedstawiałyby pozostawienie tych zbytnich środków produkcji w zarządzie państwowym).

Pod koniec wojny znaczna nadwyżka środków produkcyjnych ujawniła się także w większości gałęzi amerykańskiego przemysłu dobowczego. Przemysłowa potęga metalurgii wzrosła w czasie wojny o wiele milionów ton. Zamknięto szereg fabryk glinu jeszcze w 1944 r., gdyż produkcja ich nie znajdowała zbytu. Produk-

cja kauczuku pokrywa całość zapotrzebowania Ameryki na kauczuk.

Dla prawidłowej oceny przebiegu przyszłego cyklu przemysłowego należy wziąć pod uwagę również wzrost wydajności pracy, powstały wskutek udoskonalenia technicznych w czasie wojny. Wolny od troski o zabezpieczenie zbytu i nagłony koniecznościami wojennymi przemysł zastósował wiele wynalazków technicznych, częściowo nawet już znanych, lecz nie realizowanych przed tym w związku z trudnościami zbytu. Wzrost wydajności pracy w USA wynosi za czas wojny około 4 proc. rocznie wobec 2 proc. czasów pokojowych. Wzrost wydajności pracy w okresie wojennym jest jednym z ważniejszych czynników wpływających na rozwój cyklu powojennego.

Co się tyczy gospodarstwa wiejskiego w USA, to mimo szerokiego zastosowania pszenicy jako pokarmu dla bydła i przeróbki jej na spirytus, kraj posiada jeszcze bardzo duże przejściowe zapasy pszenicy. Produkcja rolnicza USA była — za wyjątkiem bawełny i cukru — znacznie wyższa, niż w latach 1935 — 1939.

Widzimy więc, że zakończenie wojny i przerzucenie się przedsiębiorstw pracujących na potrzeby wojny na produkcję pokojową, zagraża nadprodukcją wielu gałęziom gospodarki amerykańskiej, mimo że przeciwdziała temu procesowi będzie wielki „odłożony” popyt na przedmioty zbytku oraz na mieszkania. Korzystny wpływ tego popytu na koniunkturę będzie osłabiony przez poważne bezrobocie, którego wzrost zagraża wskutek podniesienia przeciętnej wydajności pracy w czasach wojny, oraz powrotu na rynek większości zmobilizowanych robotników. Masowe bezrobocie może spowodować kurczenie się bieżących dochodów klasy robotniczej a więc i jego zdolności nabywczej.

Niektóre więc czynniki działają w USA w kierunku skrócenia okresu fazy wzrostu. Z drugiej strony jednak szereg poważnych czynników będzie oddziaływał w kierunku jej przedłużenia.

Co się tyczy problemu cen, to wzrost cen w krajach wojujących był tym razem znacznie mniejszy, niż w czasie pierwszej wojny światowej. Przyczyny tego mniejszego wzrostu cen są dwojakie.

Po pierwsze wielkie a mało wykorzystane możliwości produkcyjne, jakie istniały w państwach kapitalistycznych przed wojną, pozwoliły znacznie rozszerzyć produkcję, co rzecz prosta, łagodzi tendencje drożyzniane. Po drugie w czasie tej wojny państwa zaczęły wcześniej stosować regulowanie cen i dokonywały tego w sposób bardziej systematyczny.

Znaczenie regulującego oddziaływania państwa w krajach prowadzących wojnę widać z tego, że w państwach neutralnych wyższa cen była znacznie silniejsza.

Ten fakt, że ceny w USA i Anglii rosły wolniej, pozwala, jak się zdaje, przypuszczać przez analogię do sytuacji pierwszej wojny światowej, że po skończonej wojnie ceny w tych krajach będą wzrastały szybciej.

Sądzymy jednak, że nie będzie to miało miejsca. Stopniowe przejście gospodarki na tory pokojowe, zachowanie kontroli cen i regulowanie ich w ciągu okresu przejściowego przez państwa a szczególnie nadwyżka możliwości produkcyjnych w gospodarce rolnej USA, jak również w przemyśle dobowczym w znacznym stopniu i w przemyśle przetwórczym będzie przeciwdziałać w krajach o sztucznej walucie ogólnej wyższe cen a przynajmniej będzie zwyżkę tę łagodzić.

Należy podkreślić, że chociaż w USA nie ma takiej zwyżki cen w porównaniu z 1939 r., jednakże ceny towarów (podobnie jak to miało miejsce w czasie pierwszej wojny światowej) są znacznie wyższe od ich wartości! Tymczasem o ile w wyniku większego wzrostu wydajności pracy jednostka towaru zawiera obecnie mniej niż przed wojną zmateralizowanego czasu pracy, o tyle ceny wyrażone w złotych i sztucznej amerykańskiej walucie powinny być niższe od przedwojennych. Dlatego też nie należy oczekiwać w USA znacznej zniżki cen po wojnie, a podczas fazy kryzysu, która potem nastąpi, można przewidywać znaczną ich zniżkę. Prawdopodobnie tak samo będą się kształtowały ceny w krajach, których waluta zachowała sztywny stosunek do dolara (dominia angielskie, Anglia). Inny charakter będzie miał po wojnie przebieg cyklu przemysłowego w krajach Europy. Nie może tu być mowy o takiej zwyżce powojennej, którą przywróciła przedwojenny poziom produkcji. Będzie wprowadzić popyt na towary i to „gotówkowy”, nie będzie jednak możliwości pro-

dukować towary dla zaspokojenia tego popytu. Nie da się uniknąć kryzysu niedoprodukcji w tych krajach, podobnie jak po pierwszej wojnie światowej. Brak środków produkcji i środków transportu będzie przeszkadzał uruchomieniu produkcji przemysłowej. Niebezpieczeństwo inflacji będzie bardzo poważnym problemem. Uda się być może, uniknąć poważnej inflacji w Europie, lub osłabić jej przebieg, drogą zachowania przez pewien czas po wojnie państwowej regulacji produkcji, konsumpcji, kontroli cen itp. Jakże rozmiary przybierze ten kryzys inflacji w Europie, kryzys „niedoprodukcji”, jak długo potrwa, w jakim stopniu będzie związany z jawną inflacją — zależy w znacznym stopniu od tego jak szybko USA, Kanada, być może Anglia — kraje, które wyszły z wojny mając nietkniętą lub wręcz wzmocnioną gospodarkę — skłonne będą podtrzymać proces odbudowy w Europie przez do stawy kredytowe przeznaczane na środki produkcji. Francja otrzymała już od USA kredyty na sumę 2,5 miliarda dol., kraje Europy wschodniej otrzymają w pierwszym rządzie pomoc z ZSRR. Celowi temu winna służyć w pierwszym rządzie projektowana organizacja międzynarodowego funduszu walutowego oraz międzynarodowego Banku Odbudowy. Międzynarodowy fundusz walutowy winien zapobiegać inflacji bądź też ją ograniczać, używając poszczególnym państwom waluty brakującej do pokrycia biernego salda ich bilansu płatniczego. Bez tej pomocy w dziedzinie regulacji długów zagranicznych, państwom tym grozi dewaluacja w stosunku do złota lub dolara. Mimo, że środki projektowanego funduszu międzynarodowego są znaczne (8,8 miliarda dol.), jednak kwoty kredytów przeznaczonych dla poszczególnych państw Europy — dla Francji 450 mil. dol., Holandii 275 mil. dol., dla Belgii 225 mil. dol., w dodatku płatne nie od razu lecz ratami w ciągu 4-5 lat, prawdopodobnie nie uchronią tych państw przed inflacją. Decydującym czynnikiem, który uratuje przed inflacją, okaże się nie bilans płatniczy, lecz sytuacja gospodarcza każdego państwa. Projekt statutu międzynarodowego funduszu walutowego przyznaje każdemu państwu prawo do obniżenia wartości waluty o 16 proc. bez uprzedniego porozumienia i o dalsze 10 proc. po uprzednim porozumieniu z zarządem Funduszu Walutowego.

Głównym zadaniem Banku Odbudowy — o kapitale równym kapitałowi funduszu walutowego, musi być gwarantowanie długoterminowych kredytów banków prywatnych. W obecnej sytuacji powojennej kredyty dla krajów europejskich będą mogły faktycznie udzielać tylko USA i Kanada, ich banki i koncerny, ponieważ państwa te dysponują środkami produkcji — surowcami, maszynami, przyrządami itp. w ilościach przewyższających własne zapotrzebowanie. Co się tyczy Anglii, to chociaż ma ona możliwość wytwarzać środki produkcji na eksport, nie będzie mogła wskutek niekorzystnego stanu bilansu płatniczego udzielać kredytu długoterminowego. Zgodnie z oświadczeniem lorda Cayres'a zagraniczne długi Anglii (nie licząc zadłużeń na mocy ustawy o dzierżawie pod koniec 1944 r. wynosiły 3 miliardy f. szt., czyli sumę równą przedwojennym wkładom kapitału za granicą. Tempo więc odbudowy, przewyżczenie „kryzysu niedoprodukcji”, opanowanie inflacji lub jej ograniczenie w Europie zależy w pierwszym rządzie od eksportu do Europy kapitału amerykańskiego.

Olbrzymie zasoby USA pozwolą na rozległy eksport kapitału do Europy po wojnie, uczynią ponadto tani eksport nader pożądanym w związku z niebezpieczeństwem kryzysu nadprodukcji (wobec wstrzymania zamówień wojennych przy silnym przyroście potencjału produkcyjnego) oraz w związku z groźbą masowego bezrobocia. Jednakowoż szerszy wywóz kapitału będzie ograniczony wskutek transportu, tj. kwestii w jakiej postaci naturalnej otrzymają USA zysk lub procenty przeznaczone na umorzenie eksportowanego kapitału. Omawiano ten problem w USA po pierwszej wojnie światowej. Jest rzeczą charakterystyczną, że Bank Narodowy w swych doniesieniach z 1920 — 1921 r. wypowiadał się niejednokrotnie przeciwko spłacie długów wojennych Stanom Zjednoczonym. „Zależy nam obecnie więcej na tym, by Europa kupowała nasze wyroby, niż na tym, by płaciła stare zobowiązania. Sprawa właśnie tak stoi. Zarówno z punktu widzenia Europy jak i Ameryki lepsze wyniki da wykorzystanie zdolności nabywczej Europy na zakup towarów amerykańskich, które są jej potrzebne, a u nas są w nadmiarze, niż spłaty długów naszymu rządowi. Przeszkadza temu obecnie wysokość kursu dewiz na Nowy Jork. Jeśli ponadto rządy państw europejskich — dłuż-

ników wystąpią w charakterze nabywców dewiz, jako konkurenci ze światem interesów, kursy te skoczą jeszcze w górę”. Polityka wymagania od dłużniczych państw europejskich spłacania długów zaciągniętych w skarbie amerykańskim, w czasach, gdy finansowe sfery amerykańskie dbają o nabywców na rynku europejskim drogą udzielania kredytów europejskim dłużnikom, byłaby nader dziwna.

Reasumując, można powiedzieć, iż po wojnie w Europie kraje o niezniszczonym lub wzmocnionym aparacie produkcyjnym będą przechodziły w ciągu 2 — 4 lat fazę wzrostu. Faza ta zamknie się kryzysem nadprodukcji, który z pewnością będzie trwał dłużej niż w 1920 — 1921 r. Kryzys nadprodukcji pogorszy położenie krajów Europy, które do tego czasu zwiększą wprowadzić swoją produkcję w porównaniu z poziomem jej pod koniec wojny, będą jednak wciąż walczyły z „kryzysem niedoprodukcji” i z niebezpieczeństwem inflacji.

Po przewyżczeniu tego powojennego kryzysu i stabilizacji choćby niektórych walut europejskich rozpocznie się nowy, pełny cykl przemysłowy. Będzie on jednak przypominał nie tyle cykl 1921 — 1929 r. z jego silną fazą zwyżkową — zwłaszcza w USA i Niemczech, lecz cykl 1929 — 1937 r. z jego „swoistą depresją” która nie doprowadziła do prawdziwej fazy rozkwitu. Te same czynniki, które nie dopuściły wtedy do prawdziwej fazy rozkwitu — a więc wyraźna sprzeczność między nieograniczoną tendencją kapitału do rozwoju a szczupłymi ramami zdolności nabywczych społeczeństwa, powstałe stąd niedostateczne wyzyskanie aparatu produkcyjnego i ciągłe bezrobocie — będą działały silniej niż w czasie pierwszego „normalnego” cyklu powojennego. Należy jednak podkreślić, że Związek Radziecki, którego gospodarka wyklucza wszelkiego rodzaju kryzys nadprodukcji, będzie odgrywał rolę czynnika stabilizującego gospodarkę państw Europy Wschodniej. Jeżeli cykliczny kryzys nadprodukcji w USA i Anglii odbije się na sytuacji gospodarczej pozostałych kapitalistycznych państw świata, to jednocześnie brak kryzysu w ZSRR będzie dobroczynnie oddziaływał na państwa gospodarczo ściśle z nim związane.

\*) Pisane w przewidywaniu, że wojna z Japonią potrwa o wiele dłużej, niż to faktycznie miało miejsce i że wobec tego 50% możliwości produkcyjnych zarówno w USA jak i w Anglii będą absorbować potrzeby armii. (Przyp. red.).

E. Warga

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

## PAŹDZIERNIK

Wszystko przepłyń, przeze mnie —  
gdzie był sad wisien  
i dom u drogi jak drumla  
dzisiaj — cmentarz liści.

W jesienim oknie stoisz otwarty  
na przecięg świata.  
Był sen i światło, i świat i jaśmin —  
i gdzie dziś tamto.

Więc tylko słowa? Nie im, to komu?  
I sen już mierzchnie.  
Stoisz i ledwie naścieżaj domu  
chwyłasz powietrze.  
1944

## GDZIE INDEJ DOM

Tysiąckominna, dumna Łódź  
z dnia na dzień domem w serce wrasta,  
usta chwałą gościnne miasto,  
ale serce wciąż: wróć i wróć!

I trzeba mi wrócić tam —  
do tamtych gorących snów,  
do tamtych burzliwych słów  
szepczanych w ciepłym cieniu bram.

Gdzie indziej, gdzie indziej mój dom:  
małe warszawskie podwórko,  
kasztan, kwadrat błękitu z chmurką,  
nocą gwiazda przyjazna snom.  
1945

W poprzednim 13 numerze „Kuznicy” z dnia 25 listopada 1945: Witold Kula — Z dziejów bankructw emigracyjnych. Stefan Żółkiewski — Polemika, Adam Ważyk — O tłumaczeniu wierszy rosyjskich. Z liryki Aleksandra Puszkina — Burza. Maksymilian M. Borwicz — Witaminy. Antoni B. Dobrowolski — O potrzebie katalogu czynności umysłowych. Flora Bieńkowska — Ojcu, Włodzimierz Słobodnik — Obłok i burza. Nauka w ZSRR — Adam Szaff. Rozmaitości — Klasycy nieznani — Adam Ważyk. Kronika kulturalna ZSRR — Ig. Liryka Jana Huszczy — Ryszard Matuzewski. Nowe książki — Szym. Przegląd prasy — ph. Noty.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ i BOHDAN TUHAN

# TŁO REWOLUCJI SPOŁECZNEJ XVII WIEKU

Jest rzeczą bezsporną, że przeciętny inteligent patrzy po dziś dzień na zagadnienie rewolucji 1648 r. przez pryzmat „Trylogii” i za jedynie miarodajne uznaje sądy Kubali i Szajnochy, historyków, na których oparł się autor „Ogniem i Mieczem”. Przenosząc sprawę na pojęcia międzywojenne, mieszczą powstanców kozackich z „banderowcami” lub „bulbowcami”, zaś Skrzetuskiemu i jego przyjaciółom pozostawia rolę „pacyfikatorów” Ukrainy.

Dla wyrosłego niedawno z powijków nacjonalizmu narodowego poczucia ukraińskiego — powstanie Chmielnickiego, to piękny, romantyczny poryw uciemiężonego narodu. A znów dla urzędowej historiografii z czasów carskich — rebelia kozacka, czyli to święta wojna ludów ruskich i prawosławia z katolicką Polską.

Czym, w istocie, było powstanie 1648 roku? Czym były jego odległe echa na Podhalu, Mazowszu i w Wielkopolsce? Wszak nie da się zaprzeczyć, że do tych, czystych etnicznie ziem polskich nie sięgał już ani żywioł ukraiński, ani prawosławie. A przecież równocześnie z powstaniem Chmielnickiego przechodziła cała środkowa i zachodnia Rzeczpospolita okres silnych wstrząsów społecznych, ściśle biorąc — rozruchów chłopskich. Istotną przyczyną tych wstrząsów były przeobrażenia ekonomiczne, jakie dokonywały się w Rzeczypospolitej w ciągu XVI a nawet i w pierwszej połowie XVII wieku. A więc, przede wszystkim, zmieniała się struktura ekonomiczna i społeczna wsi, tworzą się gospodarstwa folwarczne. Chłop stopniowo przestaje być samodzielnym czynszownikiem — dzierżawcą uprawianej ziemi i schodzi do urzędu zwykłego pracownika folwarcznego. Wzrost ilości dni odrabianej pańszczyzny, zwiększenie się powierzchni folwarku kosztem ziemi włościańskiej, skup sołectw itp. wszystko to wywołuje wzburzoną falę niezadowolenia. Tymczasem pierwsze płomienie wybuchają na terenie, na którym pozornie działo się chłopu najlepiej — na Ukrainie. Ale też przyszyły do szabli i samopatu chłop ukraiński nie podobny był do zahukanego kmiecia z Mazowsza lub Wielkopolski. Ponadto, proces tworzenia się folwarków na ziemiach rdzennie polskich dokonywał się od dawna i powoli, podczas gdy na Ukrainie szlachta zaczęła farsować swe koncepcje obszarne dopiero w latach trzydziestych i czterdziestych XVII-go wieku.

Z wybuchem powstania przechodzą do obozu szlacheckiego, polskiego, ci wszyscy przedstawiciele Ukrainy, którzy poczuli się materialnie zagrożeni przez rewoltę. A więc obaj szermierze prawosławia, Adam Kisiel i Maksymilian Brzozowski, spolszczeni Wiśniowieccy i Czetwerzynscy i wreszcie, tak „pięknie” wystylizowany przez Sienkiewicza stary Rusin, Zaćwiłchowski, który jednak w świetle współczesnych badań okazał się bezlitosnym gnębicielem chłopów, zniechodzoną „gorzej Tatarzyzna” przez poddanych.

W obozie kozackim zaś zaroilo się od Polaków; nie brak było i szlachty, nie tej, naturalnie, od tustych królewskich, lecz tzw. „młodszych synów” którzy szabłą i sprytem starali się dorobić fortuny; ci wypełnili kadry oficerskie. Ale głównie na pływali kmiecie, szukający ucieczki przed ekonomicznym białym. Taki Stach Koblebka, chłop spod Płocka, wzięty do niewoli po bitwie beresteckiej, zeznał, że wolał do kozactwa przystać, niż w domu głodem przypominać i „ciężej wótu robić”. Inny, nieznanego imienia chłop spod Piotrkowa ucieka podczas kampanii Żwanieckiej do obozu kozackiego, mówiąc, że „mu baty, co od pana bierze, zbrzydły”. Można stąd wnosić, że pomimo różnic narodowych i religijnych istniała wspólność interesów w świetle chłopskim polskim i ukraińskim.

Również ostro wystąpiły ruchy społeczne na Podhalu. Sytuacja była tam analogiczna jak na Ukrainie. Górali, wolnych dotychczas, starali się dzierżawcy biskupów i królewscy przekształcić w chłopów pańszczyźnianych. Kilkakrotnie dochodziło tam do ostrych starć. Dopiero jednak w 1651 r. na ich czele stanął niejaki Aleksander Kostka Napierski alias Szymon Bzowski, wybuchła prawdziwa rewolta. Romantycznie powstańcy powstania zasługują na szczególną uwagę. Uchodził on powstaniem za naturalnego syna Władysława IV; ile w tym było prawdy, dziś trudno powiedzieć. Był to w każdym razie typ ambitnego awanturnika, który korzystając z materiału palnego, nagromadzonego na Pod-

halu podniósł żagiel buntu. W porozumieniu z Marcinem Radockim, „rektorem” szkoły w Peimiu oraz sołtysem Stanisławem Łętowskim ze Starogo Dunajca zaczął nawoływać górali do zbrojnego powstania, nie przeciwko królowi i Rzeczypospolitej, ale przeciwko szlachcie. Obiecywał Napierski chłopom zupełną wolność, podział ziemi i lasów szlacheckich.

Manifest Napierskiego, jakkolwiek zaczął się od słów: „Pokój Chrystusów”, głosił twardą walkę ze stanem szlacheckim. „Słmi chciejcie się z tej chłopskiej niewoli wybić, kiedy czas macie. Mają li oni nas w nieważ obrócić do ostatek, lepiej że wy ich obróćcie”.

Przyjmując jako swój symbol „wieniec chojnowy na tyce” mieli się górale zebrać i ruszyć na Kraków, aby po całym kraju rozpalili ogień buntu. Na razie Napierski śmiałym napadem opanował warowny zamek pograniczny w Czorsztynie.

Zawładnięty przez rewolucję góralskiej biskup krakowski Gębicki zebrał co się dało żołnierzy i pospolitego ruszenia i wszystkie te siły zbrojne rzucił pod Czorsztyn. Zaskoczony Napierski nie zdążył sięgnąć do zamku ani ludzi, ani żywności i amunicji. Po dwudniowym oblężeniu, w którym świeżo zebrana młodzież góralska nie mogła stawić czoła regularnym wojskom biskupim, załoga twierdzy poddała się, wydając w ręce żołnierzy Kostkę Napierskiego i sołtysa Łętowskiego. Odebranie Czorsztyna sparaliżowało całą akcję góralską. Pozbawieni wodza chłopcy nie odważyli się już na żadne energiczniejsze kroki. Powstanie znalazło swój smutny epilog na placu kaźni pod Krakowem, gdzie ambitny „syn królewski” zginął na pałę, Łętowski został poowiatowany, a „rektor” z Peimia ścięty. Świeże wiadomości o zwycięstwie wojsk królewskich pod Beresteczkiem dawały odwagę szlachcie. Zaczęły się teraz serie prześladowań Górali. Całe wsiwie w obawie przed represjami uciekały w góry i szukały schronienia na węgierskiej stronie. Wystąpił przez Jana Kazimierza na Podhalu rotmistrz Kondracki donosił królowi w kilka miesięcy później, że góralska rebelia rozpalonym żelazem wyciępiona została, a i za sto lat nikt ze strachu o tych hardościach nie wspomni.

Zamieszki chłopskie rozszerzały się jednak po całej Polsce. Nawet na Mazowszu, gdzie wobec przeważającej liczby szlachty zaściankowej, położenie chłopów było najtrudniejsze, doszło do ostrych wystąpień chłopów, jak na przykład, w dobrach duchownych Sielun pod Różanem. Zgromadzeni tam włościanie „z zielonymi gałazkami w rękach” zakuli w tzw. „gąsior” miejscowego ekonoma, a na drzwiach kościoła przybili swojego rodzaju manifest, zawierający „artykuły wielce nieprzyzwoite i szlacheckiej równości bliźniące”. Po czym rozdzielił między siebie zboże z dworskich śpiżarni.

Nie wszędzie odbywało się to tak spokojnie i bezkrwawo. W tymże czasie w Clechanowie kat zgładził dwunastu chłopów, którzy porwali się na swego pana z krzykiem: „Teraz my szlachta”!

W dobrach wyszkowskich pobożny biskup płocki kazał powiesić kilkunastu zbuntowanych włościan.

W Wiźnie więziony na tortury Maciej Tykosz zeznał, że „chciał obrócić szlachtę w chłopów, a chłopów w szlachtę”.

W okolicach Szrenieśka, gdzie chłopcy puścili z dymem kilka dworów, szlachta nie mogąc inaczej opanować sytuacji, musiała sprowadzić najętych w Prusach drabantów.

O poglądach politycznych i społecznych spiskowców chłopskich wiemy bardzo mało. A i te nieliczne źródła, z których mogliśmy korzystać, pochodzą z przeciwnego obozu. Przerazona szlachta rozpisywała się szeroko o tym, że powstańcy mieli niszczyć i palić dwory, zatrząwać studnie i źródła itp. Pomędzy wierzami znaleźć można jednak i konkretne dane programu spiskowców chłopskich. Ziemia dworska miała być podzielona pomiędzy chłopów lasy i łąki udostępnione dla wszystkich włościan, a następnie wycofane z obiegu, złoże używane jedynie na podkowy, a handel — tylko wymienny. Polska powinna zostać monarchią obieralną (inna, bardziej liberalna forma rządów dla siedemnastowiecznego człowieka była nie do pomyślenia), ale zamiast Jana Kazimierza miłośnika wybrać za króla „chłopa najmędrszego”, który będzie nosił koronę nie złotą lecz cierniową.

Do osoby króla będzie przydzielony senat „z co najstarszych chłopów i bartników”, który będzie go we wszystkim kontrolował. W całym państwie miał być zakazany zbytek.

Jak widzimy więc ruchy chłopskie nie pozbawione były pewnego programu politycznego.

Również w okolicach Piotrkowa i Wolborza, a więc na terenie dzisiejszego województwa łódzkiego ruch chłopski poczynił pewne postępy. Niestety, wiadomości mamy jednostronne — z obozu szlacheckiego; według nich mieli spiskowcy nie tylko nawoływać do buntów, ale nawet zatrąwać wodę w studniach i stawach. Zarzut ten jest tak nieprawdopodobny, że nie warto się nad nim dłużej zastanawiać, wskazuje za to, jak bardzo zacietrzewiona była opinia szlachecka, która wszelkie możliwe zbrodnie przypisywała chłopom „rebellizantom”. Z Wielkopolski przychodziły również tajemnicze wiadomości o przygotowaniach do powstania chłopskiego. Na czele tamtejszej organizacji stał niejaki Grzybowski, zdaje się dawny żołnierz, którego pomocnikami byli Ostrowski, Piasecki, Szulakowski, szlachcice z województwa sieradzkiego. Nie wyjaśniona jest bliżej sprawa, czy powstańcy wielkopolscy załężni byli w jakikolwiek sposób od Chmielnickiego. W każdym razie w związku ze schwytaniem kilku przywódców episkopa przedwcześnie wykryty i nie doszło do żadnych poważniejszych rozruchów. Z zeznań jednak schwytanych przywódców wynika, że akcja prowadzona była planowo i objąć miała cały obszar zachodniej Wielkopolski. Poszczególni emisariusze przebrani „po pielgrzymku, białołęgowo i po książku” obchodzili wsi wciągając chłopów do szeroko zakrojonego spisku. W oznaczonym terminie mieli się spiskowcy zejść w jedno miejsce i stamtąd na rozkaz Grzybowskiego wyruszyć, „domy i dwory szlacheckie rabować, chłopów buntować”.

Tymczasem aresztowanie kilku spiskowców sparaliżowało akcję. Pomimo to w pierwszych dniach czerwca zebrał się oni w lasach pod Królikowem i rozpoczęli nawet spącać okopy i palić okoliczne dwory i młyny. Miało ich być 2.000 ludzi. Widząc jednak, że szlachta przygotowuje się do obrony i bojąc się spotkania z regularnym żołnierzem rozbiegli się do domów. Następstwem były liczne represje ze strony szlachty, która teraz przeprowadzała surowe śledztwo.

Również z tego samego okresu pochodzą wiadomości o przygotowaniach do powstania chłopskiego w okolicach Lubaczowa i Belza. W tamtych jednak okolicach, zamieszkałych przez żywioł etnicznie ruski, mogły to być refleksy powstania Chmielnickiego. I tam jednak skończyło się tylko na naradach i przygotowaniach. Natomiast na północy, na ziemiach W. Ke. Litewskiego mimo sprzyjających pozornie warunków, nie znalazło powstanie Chmielnickiego, ani rozruchy chłopskie, które ogarnęły całą Koronę, żadnych oddźwięków. Tłumaczy się to tym, że w dawnych jagiellońskich dzierżawach, dzięki umiejętnie przeprowadzonej w XVI w. „reformie rolnej” tzw. „pomiarze woločnej” ekonomiczne położenie włościan było znacznie lepsze niż w Koronie. Również stosunkowo mały oddźwięk znalazły te ruchy na Białorusi pomimo bliskich kontaktów religijnych i etnicznych z Ukrainą. W różnych miejscach dochodziło tu co prawda do ostrych starć, ale wywołane one były raczej przez kozackich partyzantów Chmielnickiego niż przez miejscowe żywioły.

Warto jeszcze zaznaczyć, że ów ruch społeczny z połowy XVII w. przekroczył granice państwa polskiego i przeniósł się na teren Prus Wschodnich, zamieszkałych co prawda w południowej części przez żywioł czysto polski. Jak widać więc trudno jest tam dopatrywać się intryg Chmielnickiego, a zgodzić się trzeba, że istotną przyczyną tych zaburzeń tkwiła gdzie indziej. Oto w r. 1652, a więc w rok po wstrząsach rewolucyjnych w Polsce, doszło na pograniczu polsko-pruskim do poważniejszych zaburzeń chłopskich, w których zabici zostali cepami bracia Richard i Georg Löwe. W związku z tym w kilka miesięcy później skazanym zostało na mierę 6 chłopów. Bardzo ostre represje ze strony rządu pruskiego spowodowały, że wielu chłopów z ziem Hohenzollernów musiało ucie-

kać na tereny polskie. Zimą 1653 r. przybyła nawet do Łomży komisja pruska, domagająca się wydania 158 poddanych elektorskich, którzy mieli się schronić w puszczy kurpiowskiej. Latem znów 1653 r. donosił jeden z agentów radziwiłłowskich, że we wschodniej części Prus, na pograniczu litewskim doszło do ostrych starć z chłopami, dla usmierzania których trzeba było sprowadzić garnizon wojskowy z Królewca i Tylży. Jak widać, fala ruchów chłopskich przeniosła się poza granice Rzeczypospolitej i objęła te ziemie polskie, które, jakkolwiek znajdowały się za koronem, stanowiły pod każdym względem żywą część organizmu narodowego.

Nasuwa się tu wreszcie pytanie, kim byli przywódcy powstania chłopskiego? Jeśli chodzi o Ukrainę, to cały ten ruch związany był ściśle z osobą Bohdana Żwanobiego Chmielnickiego. Postać ta ze wszech miar ciekawa i różnie przez historyków charakteryzowana. Jeśli chodzi o sprawy społeczne, cechowała go zdaje się zupełna obojętność. Sama należała do starszyny kozackiej, co w przeniesieniu na czasy dzisiejsze odpowiada sferom „generalskim”. Na czele ruchu chłopsko-ukraińskiego stanął li tylko dlatego, by pomścić krzywdę osobistą i na czele mas, wolałych o prawo do życia, wywalczyć sobie niezależne księstwo i hetmańską butawę. I gdy tylko uwolnił Ukrainę od Polaków, znów gotów był zaprząć chłopu do pańszczyźnianego jarzma, teraz już nie szlacheckiego wprawdzie, lecz za to „pulkownikowskiego”. Był to człowiek, który ze spokojnym sumieniem oddawał olbrzymie pola swej ojczyzny Tatarom na złupienie, byle zapłacił im za pomoc wojskową. Ale przy tym wszystkim był to genialny polityk, obrotny dyplomata, świetny organizator, wytrawny wódz. Prawdziwy typ dyktatora, który obraca swe zdolności w jak najgorszym kierunku.

Innego rodzaju człowiekiem był nie- szczęśliwy przywódca powstania góralskiego na Podhalu, domniemany „syn królewski”, Szymon Bzowski, alias Kostka Napierski. I jemu daleko było do roli społecznego przywódcy mas chłopskich, walczących o swe prawa. Z pewnością mniej zdolny i pozbawiony tej dyplomacyjnej głębości, która cechowała Chmielnickiego, odznaczał się jednak bezprzekładną odwagą, pogardą śmierci, a wreszcie jurnackim zapałem i śmiałością. Były to jednak cechy, potrzebne raczej zbójnickiemu watażce, niż mężowi stanu. Dlatego też Napierski nie potrafił wyrzeszać z powstania ludowego głębszych idei, obniżył jego treść do zwykłej awantury.

W innych dzielnicach Polski zabrakło ludowi wybitniejszych przywódców, którzy by potrafili wyżej podnieść sztandar powstania ludowego.

Garść tych uwag nie wyczerpuje w najmniejszym stopniu interesującego i godnego studiów tematu. Chcielibyśmy tylko podkreślić, że historiografia nasza przemilcza wstydliwie całą tę sprawę. Czasami tylko z zakłopotaniem wspomina się, że to Chmielnicki przez swych emisariuszy usiłował wywołać dywersję na tyłach. Ale istotną przyczyną tkwiła gdzie indziej. Było nią dno bezgranicznej nędzy chłopów, bytującego w warunkach, których nie podobna nazwać — ludzkimi.

## JESZCZE O STRATACH WŚRÓD POLONISTÓW

W związku z moim artykułem w Nr 4 — 5 „Kuźnica” i notatką prof. Ułaszyna w Nr 10 pod powyższym tytułem uzupełniam:

Dnia 12 września 1939 r. zmarł we Lwowie na udar serca Ludwik Bernacki, dyrektor Biblioteki Zakł. Nar. im. Ossolińskich, zasłużony bibliograf i bibliofil, autor szeregu prac głównie o literaturze polskiej doby stanisławowskiej. W r. 1943 zmarł na skutek wyczerpania w Kieleckim Zbigniew Niemiec, działacz lewicowy Z. N. P. przed wojną, współautor studium o folklorze polskim, opracowanego we Lwowie w r. 1940 (ma niebawem wydać je „Czytelnik”). Drugi autor, prof. uniw. lwowskiego Adam Flescher zmarł również w czasie okupacji niemieckiej.

Henryk Szpiller

BOLEŚLAW DUDZIŃSKI

## CASUS MAJORA HUBERTA

Centralnym punktem dyskusji na temat nowego humanistycznego realizmu w życiu i likwidaturze jest kwestia ustalenia sprawdzianów moralnej wartości człowieka na podstawie właściwej oceny popełnianych przez niego czynów. Chodzi mianowicie o znalezienie możliwie bezwzględnej i pewnej zasady kwalifikacyjnej w stosunku do czynów ludzkich. Chodzi o to, czy mają być one sądzone według subiektywnych motywów i pobudek sprawcy, czy według wywołanych obiektywnych skutków, czy też i te i tamte należy brać pod uwagę.

Sprawa nie jest prosta. Siega ona bowiem w głąb problematyki dobra i zła w ogóle, w sam gąszcz zjawisk skomplikowanych, trudno uchwytnych i wymierzalnych, mających — zależnie od kąta patrzenia — aspekt wieloraki. Motywy i przesłanki ludzkiego działania, choćby najgłębiej z pozoru ukryte, a tym samym tegoż działania skutki, determinowane są siłą tysiącznych okoliczności, uzależnionych z kolei od zespołu warunków czasu i miejsca działania. Te właśnie zmienne okoliczności nadają ostateczny sens czynom człowieka, kształtując takie czy inne ich moralne oblicze. Motywy działania są wypadkową zewnętrznymi i wewnętrznymi impulsów o różnym charakterze i niejednakowym napięciu. Czy nawet znając dokładnie te motywy można ująć w ścisłą i niezawodną formułę jakiś stały — przypuszczalnie — stosunek współzależności pomiędzy intencją a efektem?.. Czy w ramy jakiegoś kategoriowego: „albo-albo” da się wtłoczyć bez reszty całą wartośćsiującą kwalifikację przebiegu pomiędzy zamiarem a wynikiem?..

Nie rozwiążemy z pewnością tych wątpliwości na kolanie, w ferworze doraźnych dyskusyj, w natłoku sprzecznych argumentów. Truizmem przecież będzie powtarzanie, że z najsłabniejszych zamiarów rodzą się niekiedy szkodliwe obiektywnie skutki, i że, na odwrót, nawet zła intencja wywołać może efekt w istocie dodatni. Nie da się tu stawiać znaków równania, opartych na niewzruszalnym „zawsze” i niezmiennym „nigdy”. I niepodobna zbudować tak „spójnej” alternatywnej decydującej, by jej zwartości nie można było podważyć klinem prostej i niewymyślonej kazalistyki. Tym bardziej, że treść pojęć takich jak dobro, cnota, pożytek społeczny nie w każdej epoce historycznej jest jednoznaczna.

Inkwizytor, który palił ciało heretyka na stosie, aby zbawić jego duszę, spełniał — w mniemaniu własnym — czyn dobry i pożyteczny. Zbrodniarz, który strzelając nocą do przechodnia zabija przypadkiem swego kamrata, oddaje — wbrew subiektywnym intencjom — przystugę społeczeństwu. Rabaś, rozdzielający skradzione pieniądze pomiędzy biedaków, dokonywa aktu obiektywnego miłosierdzia. Sędzia, który z humanistycznych pobudek wydaje zbyt łagodny wyrok na przestępcę i umożliwia mu kontynuowanie działalności zbrodniczej, postępuje mimo woli w sposób szkodliwy dla ogółu. Także przykłady rozbieżności moralnej między zamiarem a skutkiem można by mnożyć bez końca, wiążąc dwa krańce aktu działania w bardzo trudne do rozwikłań węzły sprzeczności.

Ale tu nie zawsze sprawy są tak skomplikowane, nie zawsze pomiędzy chęcią a możliwością kwalifikacji wartościującej wznosi się mur antynomij wewnętrznych. I dzieje się nie dobrze, jeśli prosty i jasny obraz czynu człowieka próbujemy zamazać trudnościami zbudowanej problematyki, wyrażającej z uczuciowego raczej, niż rozumowego podłoża. Takim przykładem niepotrzebnej choć atrakcyjnej komplikacji wydaje mi się sprawa „majora Huberta z armii Andersa”, przedstawiona pięknie i interesująco przez Adolfa Rudnickiego w Nr 10 „Kuźnicy”.

Nie mogę rozsądzić, ile w tym opowiadaniu jest autentycznej prawdy, a ile literackiej fikcji, nie mogę mierzyć proporcji pomiędzy zawartymi w tym fragmencie składnikami: *Dichtung* i *Wahrheit*. Ale jest rzeczą niewątpliwą, że rozterka duchowa majora Huberta symbolizuje losy dzisiejsze wielu Polaków z Zachodu — i dlatego ten *casus conscientiae* zasługuje na dokładniejsze zbadanie.

Major Hubert jest z zawodu artystą-malarzem, pionierem sztuki twórczej i zdobywczej, który „żył szlachetnie i nie z myślą o sobie”. Jako oficer rezerwy, znalazł się major Hubert, z wyroku losów wojennych na Zachodzie i tu popełnił „jedną, ciężką omyłkę”, czy też stał się jej ofiarą. Uwierzył, mianowicie, w bezsens prowokacji katyńskiej, a uwierzyłszy wy-

ciągnął z tego wszystkie polityczne konsekwencje. Dał się więc użyć swoim zwierzchnikom jako narzędzie propagandy bezwzględnej i gwałtownej, oddał na usługi tej propagandy swoją wiedzę, inteligencję, znajomość języków obcych. Ale mimo to wszystko nie stał się dla umundurowanych polityków emigracyjnych swoim człowiekiem; wyczuwali w nim zawsze „inność” natury i charakteru, odmiennosć pobudek działania, trzymali go więc od siebie z dala.

Przenikliwa i głęboka inteligencja majora Huberta wywiodła go rychło z myślowych bezdroży agitacyjnego szachrajstwa. Major Hubert poznał i uznał swój błąd, ale — uczyniwszy ten rozumowy rachunek — nie może, a raczej nie chce zerwać z przeszłością. Ten człowiek „chory na szlachetność” zbudował sam sobie pułapkę duchową, w której dręczy się i męczy ponad ludzkie siły. Dlaczego?.. Bo major nienawidzi zdrady i gardzi nią. A nienawidząc zdrady, poczuł się w kleszczach — fałszywego według mnie — sylogizmu: my tu w kraju, rozumiemy to Hubert, jesteśmy „silniejsi”, oni — na emigracji są dziś bez porównania „słabsi”; zdrada jest rzeczą wstrętną, zdrada słabszych na rzecz silniejszych jest wstrętną podwójnie, a zatem major Hubert nie może zdradzić tych „słabszych”, mimo że o ich osobistej bezwartości i o niesłuszności głoszonych przez nich poglądów dogłębnie jest już przekonany.

Oddzieliwszy się barierą takiego rozumowania od myśli o powrocie do kraju, major Hubert przeciwstawia się z godnym lepszej sprawy ujęciem słusznym argumentem swego dawnego przyjaciela. „Potrzeba nam waszej pomocy! — przekonanywa ten przyjaciel. Jesteście zobowiązani do tej pomocy! Kultu w kraju nie widząc was przeprowadza znak równania pomiędzy wami i sobą. Wierzy święcie, że pochwalacie jego ciemności. Te destrukty nie pozwalają się moralnie zakwalifikować byle jak. Oni uważają się za bohaterów, oni powołują się na was, oni od zwykłego łapownika, złodzieja do mordercy z NSZ — krzyczą, że wypełniają waszą wolę. I tak jest. Póki jesteście na obczyźnie, póty dostarczacie im legitymacji politycznej i moralnej!..”

Oczywiście major Hubert jest zbyt rozumny człowiekiem, by lekceważyć uwagę i wartość takich apelów. Ale major Hubert jest też — powtarzamy — uparcie „chorym na szlachetność”. Choruje w tym wypadku z własnej woli, dlatego też z grymasem bólu na bladej twarzy, ze łzami w oczach i sercem ściśniętym odpowiada-

KAZIMIERZ MAJEWSKI

## MUZEA W NOWEJ POLSCE

Przemiany społeczne w Polsce demokratycznej na odcinku gospodarczym we wsi i mieście muszą pociągnąć za sobą zmiany zasadnicze w życiu kulturalnym i umysłowym naszego narodu, w literaturze, sztuce, nauce, wychowaniu i nauczaniu. W nowej Polsce muszą nastąpić również zasadnicze zmiany w rozwoju naszego muzealnictwa.

Jakimi były nasze muzea do r. 1939? W pierwszym rzędzie były to muzea sztuki, galerie obrazów, muzea przemysłu artystycznego, zbiory archeologiczne, etnograficzne, a wreszcie najliczniejsze muzea tak zwane krajoznawcze albo regionalne, w których reprezentowane były potrosem wszystkie działy zbiornictwa z przyrodniczymi włącznie. Obchodzi nas w tej chwili jedno: jaka była użyteczność społeczna muzeów w Polsce przedwojennej. I tu z przykrością należy stwierdzić, że nie wielka; zarówno jakościowo jak i ilościowo. Poza nielicznymi wyjątkami muzea polskie przed r. 1939 miały charakter elitarny, zgodnie z ówczesnym ustrojem polityczno-społecznym naszego państwa.

Jakimi mają być muzea w Polsce nowej, demokratycznej? Żeby na to pytanie ramowo odpowiedzieć, trzeba sobie uświadomić jakie zadania, jakie cele mają w ogóle muzea. Zgadza się z tym prawie wszyscy muzeolodzy, że muzea są miejscem przechowywania, konserwowania i inwentaryzacji najcenniejszych wytworów sztuki, kultury, techniki; że są one zazwyczaj ośrodkami pracy naukowej, badawczej, a wreszcie instytucjami nauczającymi, kształcącymi. Różnice poglądów pojawiają się dopiero w kwestii sposobu i środków wychowawczych jakimi mają posługiwać się muzea, a ściślej mówiąc ekspozycje muzealne (bo poza tym muzea mają swoje magazyny, pracownie, laboratoria, biblioteki, czytelnie, wydawnictwa itd.), a różnice te są zazwyczaj wykładnikiem światopoglądu po-

da swemu rozmówcy: „Nie mogę wrócić. Jestem człowiekiem przegrany. Jestem człowiekiem skończonym... Jestem sam. Straszna rzecz — emigracja!..”

Major Hubert stanowczo nie ma racji. Ten ciężki kryzys sumienia pozbawiony jest logicznych uzasadnień. „Szlachetność” Huberta jest tutaj tylko cierpiętniczą pozą, autosadyzmem, zadawaniem sobie cierpienia dla samego cierpienia, na przekór głosowi zdrowego rozsądku i naturalnego uczucia. Jakże to być może, jakże wspaniałemu człowiekowi, który z własnej woli i chęci uczepił się chimery jakiejś absolutnej „szlachetności”, z marniackim uporem tkwi w chorobie i podawane mu środki zaradcze odpycha. Major Hubert czyni źle, opierając się wnioskowi, płynącym praktycznie i nieodparcie z jego własnych wewnętrznych przeświadczeń. Major Hubert czyni źle, odmawiając powrotu, bo szkodzi w ten sposób i samemu sobie i Ojczyźnie, którą niewątpliwie na swój sposób gorąco kocha, za którą swym spragnionym sercem tęskni. Major Hubert jest tak chory z urojenia, zdołający się dla własnej a szczególniej satysfakcji w romantyczny pióropuch nierealnej udręki.

Jedną jest tylko droga, wiodąca majora Huberta i towarzyszy jego emigracyjnych manowców do zdrowia, spokoju i równowagi wewnętrznej. Jest to droga powrotu do Polski, która czeka, która potrzebuje ich pomocy i na tę pomoc czeka. Zamiast szamotać się w okowach sztucznej „szlachetności”, zamiast roić gorzkie sny o Kanadzie czy Brazylii, niechże major Hubert, uczyniwszy rozumny rachunek sumienia, powraca jak najszybciej do kraju, gdzie jego wysokie kwalifikacje człowieka i artysty nie pozostaną z pewnością bez przydziału.

Decyzja majora Huberta, zmanifestowana czynem powrotu czy też absencji, nie będzie należała do rzędu tych, które — przez relatywnym pobudek moralnych — mogą budzić przy ocenie skrupuły i wątpliwości. Sprawa majora nie jest sprawą szczególnie zawilą, dającą możliwość polemiki Boğu świeczki i diabłu ogarka. Rozstanie się Huberta z gromadą głupców i szalbierzy będzie zgodne z nakazami rozumu i patriotycznego sumienia; pozostawanie w tej gromadzie, trwanie w błędach już uświadomionych byłoby z naszego punktu widzenia dezercją, a słuszności tej oceny nie zdoła przesłonić mgła najbardziej rozrzucającego psychologizmu. Bo jakże tu wspólnieć naprawdę człowiekowi, który — zabrawszy przypadkiem w ślepą uliczkę — wzbrania się wyjść na swobodę, choć droga do niej otwarta jest szeroko?..

szczególnych muzeologów. Wedle jednych ekspozycje muzealne są dla ludzi wykształconych, nie dla szerokiego mas. Są tacy, którzy uważają, że muzea mają być miejscem przeżyć estetycznych (muzea sztuki), względnie bodźcem do wysiłku poznawczego (muzea historii, archeologii, etnografii), ale są i inni co głośla, że muzea mają nauczać w formie najprzystępniejszej zasadniczych faktów z dziejów ludzkości, procesów rozwoju świata i człowieka, że muzea mają być plastycznym elementarem dla szerokiego mas. Problem nie jest łatwy do rozstrzygnięcia, zwłaszcza praktyczna realizacja któregośkolwiek ze wspomnianych kierunków w naszej powojennej rzeczywistości. Budynki muzealne — tak nieliczne w Polsce są albo zniszczone (np. jedno z czołowych muzeów polskich Muzeum Śląskie w Katowicach nie istnieje), albo silnie uszkodzone; eksponaty najcenniejsze zrabowane przez Niemców, lub zniszczone przez działania wojenne, reszta zaś butwieje w skrzywniach i ciasnych nieodpowiednich magazynach.

Co jednak należy począć? Po pierwsze najwyższe czynniki w państwie muszą sobie uświadomić, że muzea są nie tylko ośrodkami naukowo-badawczymi, ale także bardzo doniosłymi placówkami kształcenia i wychowania ideologicznego, zarówno młodzieży jak i mas; że obok domu i szkoły trzecim podstawowym ośrodkiem wychowawczym muszą być muzea. To nie są rzeczy nowe. Dawno zrozumieli je wielcy twórcy rewolucji październikowej w Rosji, wreszcie zaczęły ją naśladować państwa zachodnie. I tak jak szkoła nie może wyrywać się spod kontroli państwa, tak i muzea muszą nią być objęte. A ponieważ muzea przechowują skarby sztuki i najcenniejszy — obok archiwów i bibliotek — ruchomy dobrok kulturalny każdego narodu, dlatego muszą one być własnością państwa. Wszystkie muzea w Polsce muszą być jak najrychlej u-

państwowione. Konieczną jest komasacja małych zbiorów prowincjonalnych, które ze stanowiska muzeologicznego nie są samowystarczalne.

Równocześnie z komasacją małych zbiorów prowincjonalnych w większych miastach musi być przeprowadzona radykalna akcja w innym kierunku. Wiadomo, że w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Gdańsku, Wrocławiu istniało po kilka muzeów, w których gromadziło niejednokrotnie te same kategorie eksponatów. Np. zabytki archeologiczne były ekspozycyjne w Warszawie w Państwowym Muzeum Archeologicznym, w Muzeum Narodowym, w Muzeum Archeologicznym im. E. Majewskiego i w innych; sztukę kościelną przechowywano we Wrocławiu w Muzeum Diecezjalnym, w Muzeum Starożytności i w Muzeum Sztuk Pięknych. Nie trzeba długo tłumaczyć, że taki stan posiada swoje uzasadnienie w rozwoju poszczególnych muzeów danego miasta, ale jest niecelowy ze stanowiska potrzeb społeczeństwa i niekorzystny w organizacji samego muzealnictwa, jego placówek naukowo-badawczych i nauczających. Należy zatem, w poszczególnych wielomuzealnych miastach przegrupować zbiory tworząc muzea określonego typu, a więc muzea sztuki kościelnej, galerie malarstwa nwożytnego, muzea etnograficzne, archeologiczne itd. Z przegrupowania należałoby wyliczyć nieliczne muzea (np. Czartoryskich, Czapskich), które powinny zostać rozbite na mniejsze, a z nich wydzielić te, które mają charakter specyficzny, to kawał naszej historii kultury, to źródła do dziejów muzealnictwa polskiego. Dla każdego jasnym jest, że zarówno komasacja jak i przegrupowanie zbiorów możliwe jest tylko po uprzednim ich upaństwowieniu; jak długo bowiem istnieją muzea samorządowe, miejskie, fundacyjne, prywatne, towarzystw i kościelne, nie może być o tym mowy. Niewątpliwie są to posunięcia zasadnicze, ale bez nich muzea w Polsce nie będą nigdy uspołecznione. Dopiero po upaństwowieniu, komasacji i przegrupowaniu polskich zbiorów muzealnych uzyskamy kilka muzeów na poziomie europejskim, kilkanaście mniejszych również dobrych i kilkadziesiąt regionalnych.

Jakie muzea mają powstać w Polsce? Licząc się z realnymi warunkami tj. budynkami, materiałem muzealnym i fachowym personelem możemy przejściowo sprawę postawić następująco: w Polsce będą istnieć — bo już są — muzea sztuki (a więc galerie obrazów i muzea przemysłu artystycznego), muzea etnograficzne i muzea prehistoryczne jako odrębne ośrodki badawcze i nauczające. Ale w Polsce muszą ponadto powstać muzea historyczne.

Przeciętny polski inteligent przez muzeum historyczne rozumie muzeum pamiątek historycznych, a więc przede wszystkim zbroje, mundury, szablą Sobieskiego, tabakierka Kościuszkowski, pułki włosów Słowackiego itd. Nie o takie „muzea” nam chodzi; wreszta należą one już prawie do przeszłości, jak Świątynia Sybilli i jej podobne. W Polsce muszą powstać muzea historyczne, t. j. muzea, które przy pomocy dokumentów pisanych i drukowanych, obrazów, sztychów, wszelkiego rodzaju wytworów rąk ludzkich, tj. źródeł zabytkowych, narzędzi pracy, przedmiotów kultury materialnej, dzieł sztuki, oraz pomocniczego materiału ekspozycyjnego (objaśnienia, cytaty, wykresy, fotografie, mapy, plany, makiety, modele itd.) pokażą w sposób poglądowy rozwój społeczeństwa, czy danego narodu od jego początku po dni ostatnie, uwzględniając życie gospodarcze, technikę produkcyjną, stosunki społeczne, ustroje polityczne, obyczaje, zwyczaje, wierzenia, naukę, literaturę, sztukę.

Sprawa muzeów historycznych w Polsce przedstawia się jak najgorzej. Bo gdy muzea sztuki posiadają szereg wybitnych fachowców, gdy muzea etnograficzne i prehistoryczne kierowane są również przez wykwalifikowanych pracowników, to zbiory historyczne pozostają prawie bez opieki.

Jesteśmy więc w tej trudnej sytuacji, że musimy zorganizować muzea historyczne i to jak najrychlej, a nie mamy historyków muzeologów. Władze oświatowe powinny jak najrychlej wysłać kilkunastu historyków dla zapoznania się z muzeami historii zagranicą dla przestudiowania najistotniejszych problemów związanych z urządzaniem muzeów historii. Pilna jest zwłaszcza sprawa zorganizowania przynajmniej jednej ekspozycji historycznych. Stworzenie bowiem muzeów historycznych jako ośrodków naukowo-badawczych może nastąpić dopiero po połączeniu w jedną całość zbiorów archeologicznych, etnograficznych, muzeów wojska, techniki, częściowo sztuki i przemysłu artystycznego.

Właściwie wówczas istniałyby dwa typy muzeów historycznych: Muzea sztuki, w których ekspozycje miałyby głównie na celu podnieść kulturę estetyczną mas, a wykształconym dawać możliwość przeżyć estetycznych, oraz muzea historyczne, w których ekspozycje uczyłyby widzów wiedzy o rozwoju ludzkości we wszystkich jej przejawach — oczywiście specjalnie na przykładzie dziejów naszego kraju i urabiałyby światopogląd oparty na krytycznym myśleniu i poczuciu sprawiedliwości społecznej.

ADAM SZAFF

# WYBITNY PSYCHOLOG RADZIECKI

Wypadki wojenne spowodowały poważne zbliżenie polityczne, a wraz z nim i kulturalne, między Polską, a jej sąsiadem wschodnim — Związkiem Radzieckim.

Niezależnie od tego zbliżenia dają się w dalszym ciągu odczuwać skutki poprzedniej, sztucznie wywołanej izolacji naszego społeczeństwa od tego, co się działo za wschodnią granicą. Niejedno poważne osiągnięcie kulturalne Związku Radzieckiego jest ciągle jeszcze zupełnie nieznane nie tylko przeciętnemu obywatelowi, ale niejednokrotnie i dla przedstawicieli naszej inteligencji. Stąd te różnego rodzaju „odkrycia”, które robimy ostatnio tak często, w związku z bliższym poznaniem życia Związku Radzieckiego.

Do mało znanych u nas uczonych radzieckich należy Sergiusz Rubinstein, dyrektor moskiewskiego Instytutu Psychologii.

Rozpoczynając swą karierę naukową jako docent w Odessie, w 1918 roku, pracując kolejno jako docent, a następnie jako profesor psychologii na Ukrainie, od 1930 r. w Leningradzie, a od 1941 r. w Moskwie, gdzie został mianowany dyrektorem Instytutu Psychologii, — profesor Rubinstein rozwinął się jako uczony w okresie władzy radzieckiej. Jego kariera naukowa jest przykładem i odzwierciedleniem ewolucji radzieckiej nauki.

Subtelny znawca współczesnej psychologii i całej jej problematyki, profesor Rubinstein jest również wybitnym specjalistą w dziedzinie teorii poznania i logiki, co stwarza podstawę filozoficzną jego poglądów psychologicznych.

Podstawowa praca profesora Rubinsteina, za którą otrzymał w 1941 roku nagrodę stalinowską i został wybrany na członka-korespondenta przez Wszechnarad Akademii Nauk ZSRR — jego „Podstawy ogólnej psychologii” — to jak gdyby podsumowanie rozwoju radzieckiej psychologii za 25 lat jej istnienia. „Podstawy ogólnej psychologii” dają obraz psychologii z punktu widzenia materializmu dialektycznego. Jako pierwsza tego rodzaju próba, w takim zakresie praca ta, bez wątpienia, wysuwa profesora Rubinsteina na czoło radzieckich wybitnych uczonych-psychologów.

„Podstawy” zawierają wyniki własnych prac eksperymentalnych Rubinsteina, krytyczne omówienie istniejących poglądów i szkół oraz teoretyczne uogólnienie bardzo bogatego materiału. Wobec tego, że autor szczegółowo zajmuje się poszczególnymi działami psychologii, jest zupełnie zrozumiałe, że powstało w rezultacie dzieło fundamentalne. Praca ta mieści wszystkie tradycyjne działy psychologii, chociaż autor zachowuje w ich rozwiązaniu pełną samodzielność. Nie ma tu żadnej łatwizny, ani w sensie materialistycznego wulgaryzowania, ani też w sensie akceptowania tradycyjnego stanowiska. Posiadając jasny punkt wyjściowy — filozofię marksizmu — autor stara się każde zagadnienie rozwiązać samodzielnie i przynależnie, że wnosi do każdego problemu powiew świeżej myśli.

Prof. Rubinstein potrafił w toku swej pracy skupić wokół siebie plejadę młodych psychologów eksperymentalnych zwłaszcza z dziedziny badań rozwoju psychiki dziecka i ewolucji psychiki w ogóle. Wydawniczo, pod jego kierownictwem, prace naukowe katedry psychologii w Leningradzie, a obecnie w moskiewskim uniwersytecie państwowym im. Łomonosowa, są świadectwem niezwykle owocnej pracy eksperymentalnej jego szkoły. Wyniki tych prac, niejednokrotnie jeszcze nieopublikowanych, mieszczą się w „Podstawach”, co, naturalnie, w znacznym stopniu zwiększa zainteresowanie świata naukowego tą książką.

We wstępie do swej pracy prof. Rubinstein pisze:

„W ostatniej instancji zagadnienie sprowadza się do jednego: należy zmienić psychologię w konkretną, „realną” naukę, badającą świadomość człowieka w warunkach jego działania i, w ten sposób, w swych wyjściowych pozycjach związaną z konkretnymi zadaniami, które stawia praktyka”.

Problem świadomości jest centralnym zagadnieniem psychologii.

Jak dotąd, psychologia, rozwiązując to zagadnienie, obracała się w ramach dwóch zasadniczych poglądów.

Tradycyjny punkt widzenia na świadomość w psychologii sięga swymi korzeniami do filozofii XVII wieku. Za jego twórcę należy uważać Kartezjusza, który z życia i bezpośredniego przeżycia wyodrębnił refleksję o życiu. Dla niego duch — to „wszystko to, co dzieje się w nas w ten sposób, że my sami, bezpośrednio obserwujemy to w sobie” („Zasady”). Kartezjusz wprowadza zasadę introspekcji, odbicia świadomości w samej sobie. Zgodnie z tą koncepcją, psychika w wyczerpujący sposób zostaje dana w świadomości. Wszelki proces psychiczny zostaje w ten sposób zamieniony w fakt ściśle osobisty. Konkretnie przeprowadzenie tej koncepcji do końca właściwie wyklucza wszelką możliwość obiektywnego, psychologicznego poznania.

Na tym tle wynika też kryzys psychologii w XX wieku, związany z przeciwstawieniem się tradycyjnemu punktowi widzenia na świadomość tzw. behawiorystycznej psychologii.

Psychologia postępowania (refleksologia, behawioryzm itd.) odrzuca badanie świadomości i ogranicza się do analizy zewnętrznych postępowania. W ten sposób występuje też w charakterze najbardziej zdecydowanego przeciwnika idealistycznej psychologii. Tak przynajmniej stawiał sprawę behawioryzm i ogólnie przyjęto to za prawdę. Faktycznie jednak sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Behawioryzm zarzuca introspektywnej psychologii fakt, że badanie świadomości zostaje przez nią ograniczone tylko i jedynie do badającego podmiotu, podczas gdy z zewnątrz zjawiska te są niedostępne badaniu i dzięki temu niemożliwa jest ich obiektywna analiza. Cała ta argumentacja wykazuje jednak jasno, że tzw. psychologia postępowania faktycznie wychodzi z punktu widzenia introspektywnego pojęcia świadomości, przyjmując jako pewnik, że można albo przyjąć, albo odrzucić, lecz nie można zasadniczo zmienić tego stanowiska wobec psychiki, które przyjęła introspektywna psychologia. W ten sposób obie sprzeczne teorie posiadają wspólny punkt wyjścia. Z jednej strony świadomość człowieka zostaje oderwana od praktycznej działalności. Z drugiej oderwana od świadomości działalności, zostaje zamieniona w kompleks reakcji. Bezczylna świadomość, jak i nieświadoma działalność — stwierdza prof. Rubinstein, — są tylko dwojakim przejawem jednego i tego samego rozbitcia całości przez Kartezjusza.

Ta analiza kryzysu współczesnej psychologii określa dla marksistowskiej psychologii drogi rozwiązania problemu. Jedność świadomości i działania — oto punkt wyjścia dla przebudowy psychologii, który przyjmuje prof. Rubinstein. Prowadzi on do czynnej świadomości oraz do świadomego działania. Ta nowa koncepcja świadomości opiera się na tym, że i w świadomości i w działaniu zawarty jest jeden i ten sam stosunek do obiektywnego świata, określający pierwszą w planie idealnym, a drugie w planie materialnym.

Ta zasada pozostaje w mocy i dla własnej naszej psychiki. I w tym wypadku musimy łączyć introspekcję z obserwacją obiektywnego postępowania. Jednostka przeżywa fakty psychiczne bezpośrednio, ale poznaje je tylko pośrednio — poprzez stosunek do obiektywnego świata.

Nie należy, jednakże, z tej jedności świadomości i działania wyciągać wniosku o ich tożsamości. Jesli by nie było tego stosunku między psychicznym aktem, a zewnętrznym jego przejawianiem się, obiektywne poznanie byłoby niemożliwe. Na odwrót, jesli by te obie strony były identyczne — psychologiczne poznanie stałoby się niepotrzebne. Stosunek ten istnieje, lecz nie jest jednoznaczny i dzięki temu psychologiczne poznanie jest możliwe i konieczne.

W ten sposób jedność świadomości i działania nie jest mechaniczną tożsamością, a dynamiczną jednością, która odradza się po każdym jej naruszeniu w życiu i działaniu jednostki.

Abstrakcyjna, oderwana od życia i działania, psychologia zrobiła w XX wieku krok w kierunku praktyki, dobijając szeregu stosowanych dyscyplin psychologii. Z tej próby nawiązania kontaktu z praktyką wynikły poważne trudności dla psychologii.

Marksistowska psychologia obrała zupełnie inną drogę dla rozwiązania tego za-

gadnienia. Rozpoczęła ona badanie psychiki, świadomości w tych konkretnych warunkach, w których działa człowiek, w których przejawiają się i formują psychiczne właściwości jednostki.

Tak wygląda w ogólnych zarysach koncepcja świadomości i działania prof. Rubinsteina.

Jesli problem świadomości możemy traktować jako centralne zagadnienie współczesnej psychologii radzieckiej i jesli to zagadnienie wybijają się bezsprzecznie na pierwszy plan w systemie prof. Rubinsteina, to w bezpośredniej z nim łączności pozostają dalsze zagadnienia, które znajdują swe oryginalne nasświetlenie i rozwiązanie w „Podstawach”. Mamy tu na uwadze w pierwszym rzędzie zagadnienie rozwoju, które prof. Rubinstein ujmuje w świetle jedności struktury i funkcji. Dalej bardziej szczegółowe zagadnienie rozwoju psychicznego dziecka, które jest ujęte w „Podstawach” jako jedność dojrzwania i nauczania. Zagadnienie filozoficznych pod-

staw eksperymentalnej psychologii. Problem stosunku do szeregu współczesnych kierunków w psychologii, jak tzw. „Gestaltpsychologie” itp.

„Podstawy” to książka o wielu obliczach. Student znajdzie w niej wspaniałą podręcznik. Wykształcony psycholog — kompendium wiedzy psychologicznej. Badacz — bodziec dla badań naukowych w szeregu dziedzin.

„Podstawy ogólnej psychologii” profesora Rubinsteina doczekały się obecnie trzeciego wydania. Znacznie rozszerzone i zmienione trzecie wydanie „Podstaw” zostaje jednocześnie wydane w języku angielskim w Londynie oraz w językach krajów nadbałtyckich. Miejmy nadzieję, że wkrótce ukaże się ta książka i w języku polskim i w ręku polskiego czytelnika znajdzie się nowy, doskonały podręcznik psychologii dla wyższych zakładów naukowych, który w światowej literaturze zdobył już sobie zasłużone miejsce.

## W KWIETNIU CZY W MAJU?

Lwowski październik 1939 roku. Minęły piękne pogody z dni natarcia niemieckiego. Rano gęsta mgła zalegała miasto. Głównymi arteriami Lwowa przelewały się zwarte formacje defilujących wojsk radzieckich.

Tę pierwszą defiladę radzieckich wojsk we Lwowie oglądało całe miasto. Tłumy lwowian i uciekinierów z całej Polski wyległy na ulice. W milczeniu, z mieszanymi uczuciami oglądaliśmy wspaniałą artylerię zmotoryzowaną i kończące się kolumny czołgów. Ludzie stali i patrzyli. Z podziwem i żalem, zachwytem i goryczą. Czy nie mogliśmy mieć takich samych? Czy nie powinniśmy byli sprawić, żeby te działa i czołgi były się razem z nami pod Kulnem i na Śląsku? — Od czasu do czasu ktoś rzucał takie pytania i nie czekając odpowiedzi wychylał głowę i stawał na palce, żeby lepiej widzieć defilujące szeregi. Takiej artylerii i takich czołgów Polacy dotychczas nie widzieli.

Stałem u zbiegu ulic Batoro, Łozińskiego i Piłsudskiego. Od godziny przeciągały przed nami czyste mimo niepogody, bardzo „pokojowo” wyglądające zmotoryzowane oddziały radzieckie. Obok mnie stał stary Żyd, co chwilę jak i ja wyciągający wysoko chudą szyję, żeby przez morze głów dojrzeć szczegóły jednego dla nas widowiska. Był to niewątpliwie „bieżeniec”, uciekinier z zachodu. Świadczył o tym nieomylnie jego dziwny ubiór. Po szczegółach garderoby poznawaliśmy w tym czasie przybyszów z obcych stron.

Z mężczyzną tym wymieniliśmy co parę chwil jakieś uwagi, które nie zobowiązwały do odpowiedzi, mogły być, mogły nie być — ich sens czytało się w oczach. W pewnej chwili usłyszałem: a jednak, jesli on zechce, to wszystko rozleci się w kawałki.

Odrzuciłem się i uważnie spojrziałem na przygodnego towarzysza. Zaskoczyła mnie śmiałość tej głośno wypowiedzianej uwagi, nie mogłem też zrozumieć jej sensu. Słowa starego Żyda to nie były monosylaby, którymi porozumiewaliśmy się dotychczas, wybiegały poza ten nurt myślowy, który — jak sądziłem — był w tych chwilach wspólny nam obu.

— Kogo pan ma na myśli?  
Oczy mego towarzysza były smutne. Spojrzał na mnie, dziwiąc się wyraźnie pytaniu.  
— No jasne, Hitler!

To były czasy, gdy w Europie nie wielu było ludzi, którzy opierali się skutecznie sugestii o wszechpotężne współczesnego Dżyngischana. Wielcy politycy i handlarze pierzem, mężowie stanu wielkich imperiów i kupcy żydowscy z Ostrołęki czy Kołomyi; ulegli urokowi szatana, który groził i strzelał, krzyczał i mordował, i — jak dotąd — realizował wszystko, co zamierzył. Proroctwa Hitlera spełniały się. Straszliwa potęga złowieszczego demurga dysponowała równie straszliwą siłą realizatorską.

Pokazując na smącą kolumnę czołgów sowieckich stary Żyd mówił:

— Dla niego, proszę pana, to jest zabawka. Ja ich widziałem pod Warszawą. On dmuchnie i zostanie z tego kupa szmelcu.

To nie był wyłącznie pogląd małomiatostkowego Żyda, któremu zainteresowania i typ zajęć ograniczają pole widzenia. Zostawiwszy gdzieś w Wołominie czy Przytyku swój mizerny dobytek, straciwszy w panicznej ucieczce swoich bliskich, człowiek ten zatracił rzecz najważniejszą: instynkt samozachowawczy.

W owych czasach, i przez kilka lat następnym wielu ludzi chorowało na tę najcięższą z chorób. Dopiero pierwsza klęska lądowej armii niemieckiej pod Rostowem była dla wielu początkiem rekonwalescencji po ciężkiej chorobie paraliżu woli i atrofii instynktu życia.

Armia szatana z Berchtesgaden przestała istnieć. W Berlinie urządzą międzysojuszniczą komisja kontrolna. Europa jest wyzwolona spod niemieckiej okupacji. W Europie mit Hitlera przysł. Został Niemcy, po raz drugi w ciągu lat trzydziestu pokojowi i demokratyczni, spokojni i solidni. I został w Niemczech mit Hitlera. Wracający z Nadrenii czy Saksonii Polacy opowiadają o tym. Nie znalezione ciała Hitlera, nie pojmano go żywcem. Niemcy wierzą, że wódz ich żyje. Ze myśli o nich i za nich. I że ich zbawi.

Jesli tekst ogłoszonego przez P. A. P. sprawozdania o wynikach śledztwa w sprawie Hitlera jest prawdziwy, jesli nie zostanie on sprostowany — obawiam się, że naród niemiecki, pokojowy i demokratyczny, spokojny i solidny nie przestanie ufać swemu wodzowi, że nie uwierzy w jego śmierć. Czytamy bowiem w tym sprawozdaniu:

„Na podstawie zeznań świadków ustalono, że Hitler zastrzelił się, a Ewa Braun otruła się dnia 30 kwietnia b. r. w kancelarii Rzeszy w Berlinie. Ciała ich zostały spalone następnego dnia przed schronem na podwórku kancelarii Rzeszy”.

Ten sam komunikat podaje w dalszym ciągu następujący szczegółowy opis wypadków: „Okolo godz. 3 po południu dnia 30 kwietnia Hitler i Ewa Braun pożegnali się z osobami swego najbliższego otoczenia i udali się do apartamentów prywatnych Hitlera w schronie pod kancelarią Rzeszy, gdzie popełnili samobójstwo. W tym samym czasie przywieziono na dziedziniec około 200 litrów benzyny (komunikat nie wymienia, czy była to benzyna syntetyczna czy też naturalna — przyp. zecera). Ciała Hitlera i Ewy Braun zostały wyniesione ze schronu przez Goebbelsa, Bormanna, Strumpfeggera i dwóch SS-manów z gwardii przybocznej. Zwłoki Hitlera były zawinięte w prześcieradło”.

„Zwłoki Hitlera i Ewy Braun umieszczono w dole i oblanio benzyną. Na skutek huraganowego ognia artyleryjskiego, który rozpoczął się w tej chwili, Goebbels i jego pomocnicy wycofując się do schronu, rzucili przesiąknięty benzyną płonący galgan na zwłoki, które spaliły się doszczętnie”.

„Następnego dnia 1. j. 1-go maja, Bormann wysłał depezę do Doenitza...”

Zwróćmy uwagę na daty. Komunikat na początku mówi, że samobójstwo zostało popełnione dnia 30 kwietnia a zwłoki zostały spalone dnia następnego t. j. 1-go maja. W szczególonym opisie wydarzeń powiedziano natomiast, że następnego dnia po spaleniu zwłok, t. j. 1-go maja Bormann wysłał depezę do Doenitza, i t. d. i t. d.

Kiedyż więc spalono Hitlera? W kwietniu czy w maju? Czy ktoś zaglądał pod to prześcieradło, którym okryte były szanowne zwłoki? I dlaczego kopano dołek na podwórku? To „podwórko” chyba wykładane jest kostką lub asfaltem. Czy żeby się benzyna nie rozlała? Ale najważniejsze, kiedy to było: w kwietniu czy w maju?

Deutschland erwache! Zbudźcie się Niemcy!

Andrzej Kruczkowski.

Rozmaitości

W fabryce i w poemacie

W instytucji robotniczej, w środowisku młodych dolowych działaczy była mowa o literaturze. Zapytano mnie, jako człowieka, który przebywał przez kilka lat w ZSRR, czy rozwija się w tym kraju t. zw. poezja pracy.

Przypomniałem sobie wiersze poetów radzieckich o budowie Dnieprostroju lub innych wielkich kombinatów, nie stanowiące zresztą stałego motywu poezji. Utwory te dotyczyły konkretnych obiektów budownictwa i pracy. Nie o to szło pytającemu. Ciekaw był, czy zrodziła się taka poezja, w której by przejawiał się zmieniony stosunek do pracy, w warunkach, w których wysiłek kapitalisty zmienił i rozwinęło się poczucie społecznego celu roboty wykonywanej przy warsztacie fabrycznym.

Odpowiedziałem mu zgodnie z tym co sądziłem, że zmieniony stosunek do pracy przejawia się w optymizmie, który towarzyszy spojrzeniu na wszystko, czy to będzie warsztat, czy słon w ogrodzie zoologicznym, czy łąka na dwcu. Rozmówca zrozumiał mnie bardzo dobrze, wydało mu się to również naturalne jak mnie samemu, nie wymagał żadnych komentarzy i ta jasność, która nagle między nas weszła, trochę mnie zażenowała. Uprzytomniłem sobie, że niegdyś dla mnie samego nie było to czymś tak prostym, jak dla niego. Człowiek należący do inteligencji zawodowej nie przyjąłby tak łatwo tego związku między zmienionymi warunkami pracy a optymizmem, jako stałym współzynnikiem twórczości artystycznej, musiałby wtrącić wiele pośrednich ogniw rozumowania.

O co mnie właściwie pytał na początku? O poezję, która wystawia pracę robotnika przy warsztacie, w hucie, w górnictwie. Próby takie go wątku mieliśmy przed wojną, w okresie t. zw. „wysięgu pracy”. Fałsz społeczny i polityczny hasła sanacyjnych, które tendencje tę wywołały, nie przesądza jej racji bytu, bo wielu poetów niekoniecznie służących sanacji, stawiało pracę w przekonaniu, że te właśnie strofy współdziałają z uczuciem i myślą najdroższą klasie robotniczej. Było to co najmniej jeszcze jedno złudzenie inteligencji, która ma skłonność do metafizycznego traktowania ludzkiego potu i wysiłku.

Mamy w tradycjach kultury i myśli sporo takich konceptów metafizycznych; praca mo-

dlitwą, praca obowiązkiem przyrodzonym, praca uszlachetnia. Te koncepty miały i określoną genezę w feudalnych stosunkach społecznych i wiadome przeznaczenie dla chłopów pańszczyźnianych. Rentierzy pielęgnujący domowy ogródek, odkryli ponadto, że praca może być przyjemnością. Przekopawszy tużin grządek, czerstwy staruszek poczaje się rzeźko, a stąd już niedaleko do prorokowania, że praca jest faktycznym źródłem radości życia.

Tyle w tym wszystkim prawdy, ile w bliźnim przekleństwie, że w pocie będziesz spożywał owoce swojej pracy. Trudno dzisiaj zbudzić człowieka inteligentnego, że którykolwiek z tych konceptów miał sens w stosunkach kapitalistycznych, natomiast niejednemu inteligentowi wydaje się, że nareszcie dawne formuły nabierają blasku bądź w takich warunkach społecznych, jak w ZSRR, bądź w krajach ludowej demokracji gospodarczej, gdzie kluczowe punkty produkcji przestały być własnością prywatną. Czyż dopiero teraz praca nie staje się błogosławieństwem, dobrodziejstwem duchowym, zaspokojeniem naturalnych potrzeb człowieka i Bóg wis czym jeszcze? Szczerzy demokraci, poddający się skłonnościom metafizycznym, widzą źródło szalonego wysiłku, dokonanego w ZSRR podczas wojny, we wspólnocie pracy, jakiegdyby i w warunkach kapitalistycznych produkcja nie miała charakteru społecznego. Albo zastanawiają się, czy nie nadejdzie wkrótce pora, kiedy człowiek będzie z radością pracował dla samej pracy. A na to wszystko mój rozmówca odpowiedziałby: Eh, gadanie...

Człowiek pracuje bez metafizyki, jego chęć do pracy wyznacza nie tylko siła mięśni czy metabolizm. Całokształt życia społecznego odbija się w jego ruchu, jak słońce lub chmura w kropelce. Inaczej było wczoraj, inaczej będzie jutro.

O faktycznym stosunku do pracy decyduje świadomość jej celu i przeznaczenia, stosunków gospodarczych, społecznych i politycznych, w jakich się ta praca odbywa. To najlepszy barometr duchowy człowieka. Zwiastuje burzę, wskazuje pogodę. Tak samo w życiu, jak w twórczości, tak samo w fabryce, jak w poemacie.

ADAM WAŻYK

I tu jesteśmy u sedna sprawy. Mianowicie:

Rozprawa prof. Suchodolskiego do złudzenia przypomina analogiczne rozprawy niemieckie. Widzę wyraźnie podobne dzieło (musiało być nieco grubsze i nieco więcej mieć przypisów). Tytuł brzmiałby: „Der deutsche Geist im Spiegel der deutschen Philosophie”. Takie samo stawianie zagadnienia, taka sama metoda — no, wnioski byłyby akurat odwrotne, ale przy takim stawianiu zagadnienia i takiej metodzie rzecz to do wykonania.

A przy tym wszystkim praca napisana sugestywnie, materiał ma bogaty i ciekawy, trafia do naszych pełnych jeszcze niewiadomości serc, czyta się jednym tchem. Aż żal, że nie można znaleźć z autorem wspólnego języka.

Trafiają do nas cytaty, jak ta z Fichtego, że naród powinien się uzbroić tak dobrze, by przyłączenie sąsiednich terytoriów urzeczywistnić „bez rozlewu krwi, tak-ż jego operacje wojskowe będą raczej wyprawą okupacyjną, niż wojną”, a czasem wystarczą mu tylko zagrożenie wojną gorzej uzbrojonym; że po przyłączeniu nowych terytoriów trzeba będzie wydać manifest do ich ludności, tłumaczący jej, iż

CZESKA „ŁAGODNA REWOLUCJA”

Nic ciekawszego, jak obserwować, w jaki sposób każdy z krajów wywołonych wstępuje na kładkę, ponad trudnościami okresu powojennego prowadzącą do dalszych reform społecznych.

Czechosłowacja kroczy po niej ostrożnie, lecz pewnie, powoli, zabezpieczając się na wszystkie strony — lecz jednocześnie z przemysłem, przygotowaniem i zdecydowaniem.

Niedawno nastąpił właśnie nowy doniosły krok w tym kierunku. Wykazuje on tę samą ostrożność, może nawet półowiczność. Sceneria, w jaką został przybrany świadczy, iż nie obce tu były dążenia do zdobycia popularności. Lecz jednocześnie jest to krok nieocfiony, a dążenie do popularności świadczy o tym, co w społeczeństwie czeskim jest popularne.

W dn. 24.X r. b. Prezydent Benesz podpisał dekrety o upaństwowieniu kopalni, przedsiębiorstw produkujących i dostarczających energię wszelkiego rodzaju, niektórych innych przedsiębiorstw przemysłowych (w zakresie przemysłu spożywczego upaństwowieniu podlegają np. wszystkie cukrownie i gorzelnie, większe młyny, browary, fabryki sztucznych tłuszczów oraz czekolady i słodczy), banków akcyjnych oraz

stało się to dla jej dobra, po czym nastąpi racjonalne zorganizowanie pracy, przydzielane określonym grupom ludzkim określonego zajęcia, a nawet okaże się celowym „część ludności nowych prowincji ścignąć przyjaznymi sposobami do kraju rdzennego, na jej zaś miejsce przesiedłać tych, co mieszkali w dawnych granicach” (Fichte: Der geschlossene Handelstaat 1800). Słowo stało się ciałem! Byliśmy świadkami wcielenia się ducha absolutnego na ziemi!

...I może dlatego właśnie pozostała nam do dziś nieufność do wszelkich „duchów”, a więc i tych „dusz” i „duchów”, które wchodzi w skład języka naukowego autora rozprawy.

Cała demokratyczna Europa jest dziś antyniemiecka. Zejście z tego antyniemieckiego stanowiska kryłoby w sobie olbrzymie niebezpieczeństwa. Ale zbyt jednostronna antyniemieckość groziłaby niebezpieczeństwem jeszcze poważniejszym. Wojna toczyła się przed Hitlerem — i toczy po jego upadku. Niektórym pobite Niemcy przydać się mogą w charakterze kozła ofiarnego: by strząsnąć na niego własne grzechy.

Jan Bukowski

prywatnych zakładów ubezpieczeniowych. Przy kwalifikacji do upaństwowienia zastosowane są zarówno kryteria rzeczowe (branże) jak i ilościowe (liczba pracowników). Przedsiębiorstwa o charakterze spółdzielczym bez względu na branżę i wielkość upaństwowieniu nie podlegają. W gałęziach podlegających upaństwowieniu osobom prywatnym nowych przedsiębiorstw odtąd zakładać nie wolno.

Za przedsiębiorstwa upaństwowione należą się dotychczasowym właścicielom (z wyjątkami o charakterze politycznym) odškodowanie w papierach wartościowych, gotówce lub innych wartościach. Równać się ona ma wartości przedsiębiorstwa w dniu ogłoszenia dekretu, obliczonej według cen urzędowych.

Przedsiębiorstwa upaństwowione („unaronodowione” według terminologii dekretów) działać będą na zasadach komercyjnych. Gwarancją ich zobowiązań jest ich własny kapitał — nadwyżki zaś osiągnięte przekazują do skarbu państwa.

Za utrudnianie wględnie uniemożliwianie upaństwowienia dekret przewiduje sankcje karne — zresztą nieznaczne (więzienie od 1 do 5 lat i grzywna).

wdk

W POSZUKIWANIU „NIEMIECKIEJ DUSZY”

„Dusza niemiecka w świetle filozofii” — to tytuł większej rozprawki prof. Bogdana Suchodolskiego, ogłoszonej w Nr 2-3 Przeglądu Zachodniego.

Na gorąco, zaraz po przeczytaniu tej pracy, nie umiemy o niej pisać inaczej, jak wykrzyknikami i znakami zapytania.

Nie rozumiemy tytułu!

Cóż to za „dusza niemiecka”? Czy mowa tu o jakimś tworze zbiorowym — czy o cechach gatunkowych twórców indywidualnych? Czy otrzymana odpowiedź ma mieć moc obowiązującą dla wszystkich klas społecznych i dla wszystkich epok? Odpowiedzi na te pytania nie znajdujemy. Autor uważa je chyba za „rozumiejące się same przez się” — i bada je są takimi dla młodzieży, która uczyła się myśleć na „Skąd i dokąd idziemy”.

W każdym razie stwierdza autor ambitnie, że chce ująć tę duszę „taka, jaką ona jest, jaką się ujawnia w czynach”, że dąży do zrozumienia życia i ducha tego narodu (nb.: znów nie wiemy, czy „duch” to to samo, co „dusza”). Do tego celu dąży przez badanie niemieckiej filozofii (sic!). Nasuwa mu się wprawdzie wątpliwość, czy droga to słuszna, a to w związku z „głęboko zakorzenioną teorią o dwoistości kultury niemieckiej, na którą składają się mają przeciwnieństwa Weimaru i Poczdamu”. Ponieważ jednak „dokładniejsze badania” przekonały go, „iż dusza niemiecka jest jednolita” (dosłownie!) — idzie więc już dalej spokojnie swoją drogą. Innych wątpliwości co do jej słuszności nie miał.

Absolutnie, poza czasem i przestrzenią dokonujący się sprawy spowodowały, że filozofia niemiecka nie miała swojego wielkiego racjonalizmu. My widzieliśmy w tym wpływ specjalnych warunków społecznych, gospodarczych i kulturalnych. Racjonalizm, który w państwach jednolitych i bardziej zaawansowanych w rozwoju gospodarczym (Anglia i Francja) burzeniem autorytetów torował drogę stanowi trzeciemu do złamania ram feudalizmu —

nie miał w tym czasie zastosowania w Niemczech. Te musiały wpraw, uzbrojone w romantyczny nacjonalizm, przejść przez okres zjednoczenia państwowego, umożliwiającego powstanie dużego rynku wewnętrznego, a tym samym koncentrację kapitału, skutkiem czego dopiero mogło być wzmoczenie mieszczaństwa. Gdy ono z kolei zapragnęło burzenia autorytetów — ten nowy racjonalizm będzie pozytywizmem.

Dziwne operacje ze słowem „racjonalizm” pozwoliły autorowi jako przykład niemieckiego antyracjonalizmu podawać... Marksa. W ogóle traktując Marksa jako reprezentanta „duszy” niemieckiej dąży się (oczywiście bez kropek nad i) do tego, by suponowana u czytelnika niechęć do Marksa wzmacniała niechęć do niemieczyny i, zwłaszcza, odwrotnie.

Dalszemu ciągowi rozprawki też brak jest kropki nad i. Zarzut ten stawiał już półtora roku temu w konspiracyjnych „Realizacjach” Jadźwingowi, prof. Kotarbiński w recenzji z książki „Skąd i dokąd idziemy”. Każda z wylizanych cech charakterystycznych filozofii niemieckiej ma wzbudzić niechęć w czytelniku — choć autor wyraźnie nie mówi, czy podoba mu się ona, czy nie. W ten sposób rozprawa omawiana staje się paszkwilem na filozofię niemiecką.

I tu nasuwa się ciekawa refleksja. Prof. Suchodolski stwierdza, iż filozofia niemiecka (chciałoby się raczej powiedzieć: zarzuca filozofii niemieckiej), w swoim antyracjonalizmie zrywała z „renesansową tradycją europejską” — a przecież któż, jeśli nie prof. Suchodolski tak często nas do tego zerwania i do nawiązywania do przedrenesansowych czasów namawiał? Mówi o gwałtownej krytyce urbanizacji życia i mechanizacji pracy ludzkiej, — a przecież sam od dawnych swych wystąpień w „Pionie” poczynając nie mniej gwałtownie krytykę tę prowadził łątowo możnaby mnożyć przykłady.

Nowe księki

Zofia Dróżdż — Wł. Milezarek: Zakoehani w Pomorzu. Zdjęcia wykonał Tadeusz Aleksandrowicz. — „Czytelnik”, 1945; str. 37 i 3 nl.

Żywo, inteligentnie i nie bez lirycznego polotu napisany reportaż z Pomorza Zachodniego wzbudzi z pewnością zainteresowanie i miłość dla tej ziemi w niejednym z czytelników. Uroki pomorskie i poczucie dumy z odzyskania dla Polski tej dzielnicy nie pozbawiają autorów bystrości spojrzenia na wiele niedoskonałą jeszcze rzeczywistość skomplikowanych spraw i stosunków. W interesujących i niebanalnych obrazkach z podróży samochodowej autorowie reportażu zaznajamiają nas nie tylko z tym, co już na Pomorzu zostało dokonane i czym możemy się chwalić, ale piszą też bez ogródek o wszystkim — a jest tego bardzo wiele co pozostało do zrobienia na czas najbliższy.

Świadomość braków i błędów nie tłumii jednak akcentów trzeźwego i racjonalnego optymizmu. Czytamy więc m. in.: „Na Pomorzu Zachodnim nie ma złotych gór, bo kraj jest raczej nizinny, choć nie leży na ulicy, a miana kasha nie spada z nieba... Dobrobyt czeka tylko na tych, którzy przyjdą tu z zamiarem uczciwej pracy. Nieprawdą jest, że na Zachodzie straszy, prawdą natomiast jest to, że na Zachodzie trzeba pracować... Na objęcie czekają przepiękne gospodarstwa 20, 40, 100 hektarowe. Jeżeli nie szybko doczekają się nowych gospodarzy, zostaną doszczętnie wyszabrowane przez tych, którzy — strasząc — zmniejszają sobie konkurencję do minimum... Administrację polską musi wesprzeć rodzimy element ludnościowy, i to nie biało-czerwoną chorągiewką, ale przede wszystkim pracą skonsolidowanych mas, na miarę wielkich planów...”

Przejrzysta mapka, trochę statystyki i liczne zdjęcia fotograficzne stanowią cenne i pożądane uzupełnienie tekstu.

(bd)

KSIĄŻKI NADEŚLANE

- Grycz Józef: Bibliotekarstwo praktyczne w zarysie. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, 1945, str. 232.
- Kraszewski Józef Ignacy: Stara baśń. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, 1945, str. 495.
- Dąbrowska Maria: Marcin Kozera, opowiadania. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, 1945, str. 66.
- Gojawlezyńska Pola: Kraja. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, 1945, str. 207.
- Dr Kafel Mieczysław: Ekonomiczne oblicze zawodu dziennikarskiego w Polsce. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Kraków, 1945, str. 152.
- Fiedler Franciszek: W sprawie granic wschodnich. Spółdz. Wydawn. „Książka”, 1945, str. 47.
- Fiedler Franciszek: Za waszą i naszą wolność. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, 1945, str. 56.
- Majakowski Włodzimierz: Dobrze! Spółdz. Wydawn. „Książka”, 1945, str. 69.
- Pasternak Leon: Lata powrotu. Spółdz. Wydawn. „Książka”, 1945, str. 32.
- Grossman Wasyl: Aniuta, Daleki Mikołaj: Opowiadania. Spółdz. Wydawn. „Książka”, 1945, str. 45.
- Castellatti Maria: Pole Mokotowskie. Spółdz. Wydawn. „Książka”, 1945, str. 42.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Stan. J. Henryk. Jeszcze słabe. Autor cyklu „Powstanie Warszawskie”. Wykonanie nie stoi w żadnym stosunku do wielkości tematu. RS. Warszawa. Maniera barokowa niszczy Wasze utwory. J. T. Zdunińska Wola. „Zyciorys” i „Człowiek pod księżycem” mają pewne zalety, ale jeszcze nie do druku.

## Przegląd prasy

## N O T Y

W Nr 81 „Trybuny Wolności”, organu Komitetu Centralnego PPR, w redakcyjnym artykule wstępnym „Demokracja w natarciu” znajdujemy syntetyczną ocenę wewnętrznej sytuacji politycznej. Artykuł podkreśla, że zmiany jakie zaszły w Polsce „mogły się... dokonać jedynie na fali potężnych zmagani zjednoczonych sił demokratycznych z faszyzmem...”. W dalszym ciągu redakcja stwierdza, że ogromnej pracy nad przeobrażeniem naszego życia politycznego i ekonomicznego można było dokonać jedynie „dzięki niewyczerpanym siłom tkwiącym w masach ludowych”. „Nie zamykamy bynajmniej oczu na wzmogłą aktywność żywiołów antydemokratycznych... i stosowane próby wykorzystania przez nie niemiękkich trudności gospodarczych okresu powojennego” — „Mamy wszelkie warunki, sprzyjające utrwaleniu zwycięstwa demokracji w Polsce...”.

Obszerną i umotywowaną analizę rozłamu w ruchu ludowym przeprowadza Roman Werfel w artykule „Wypadki w ruchu ludowym”. Artykuł zaopatrzony jest w dość szczegółowe omówienie przeszłości ruchu ludowego. Autor reasumując tę przeszłość stwierdza, że ruch ludowy ma w Polsce dwa oblicza, co „dla marksisty... nie stapowi bynajmniej niespodzianki”. W dalszym ciągu artykułu Werfel omawia wycięty ruch ludowy w kraju w latach 1939—1945 zaznaczając, że S. L., odcinając się od obozu reakcyjnego w Londynie, „stanowczo zerwało ze wszystkimi tendencjami „siedzenia na dwóch stołkach” — między reakcją i demokracją...” i „zdecydowanie stanęło na gruncie sojuszu chłopsko-robotniczego, na gruncie bloku chłopca, robotnika i pracującego inteligenta, jako podstawy przyszłej, demokratycznej, ludowej Polski”. Wreszcie Werfel analizuje stanowisko PSL podkreślając niezgodność między oficjalnymi wypowiedziami stronnictwa i jego praktyką. Różnice te dotyczą punktów kluczowych naszej polityki gospodarczej (reforma rolna) i zagranicznej. Wyliczywszy dość szczegółowo owe różnice stwierdza autor, że „wbrew woli nawet poszczególnych swoich działaczy — PSL staje się schroniskiem, legalną placówką zjednoczonego obozu reakcji w Polsce”. W zakończeniu Werfel formułuje pozycję zajętą przez Stronnictwo Ludowe wobec akcji PSL i wreszcie omawia stosunek PPR do ruchu ludowego w Polsce i zadania jakie partia ma do spełnienia wobec ruchu ludowego, gdyż „aby pokrzyżować rachuby reakcji, aby utrzymać sojusz robotniczo-chłopski, trzeba energicznej działalności obozu demokratycznego”.

Miesięcznik „Nowa Szkoła” poświęcony jest całkowicie zagadnieniom pedagogiki i szkolnictwa. W Nr 6 „Nowej Szkoły” znajdujemy m. in. artykuł Włodzimierza Michajłowa „Szkoła półinternatowa” i St. A. Majewskiego „Reforma szkolna i przebudowa społeczna”. Edward Czernichowski zamieszcza artykuł dyskusyjny „O nowy typ podręcznika”. Niewątpliwie „Nowa Szkoła” pozwoli na omawianie niezmiernie ważnych zagadnień szkolnictwa w sposób bardziej systematyczny niż to było praktykowane dotychczas, gdy kwestie szkolnictwa i wychowania dyskutowano na łamach pism społeczno-literackich ze szkodą niewątpliwie dla samego zagadnienia, wymagającego planowej dyskusji. O tym, że następuje całkowita stabilizacja w dziedzinie kultury, świadczyć może wciąż wzrastająca ilość czasopism specjalnych. Z zadowoleniem odnotować należy pierwsze trzy numery wydawanego w Krakowie „Ruchu Muzycznego”. Pismo redagowane jest żywo, posiada obszerny i solidnie obsesany dział kroniki i recenzji ze wszystkich większych ośrodków muzycznych.

W Nr 3 m. in. interesujący artykuł Stefani Łobaczewskiej „O konieczności reformy w naszym szkolnictwie muzycznym” oraz lista muzyków orkiestrowych zmarłych podczas wojny opracowana przez S. Śnieckowskiego. W Nr 3 Mieczysław Drobner pisze o „Problemach organizacyjnych życia muzycznego w demokratycznej Polsce”. Autor, dyrektor Departamentu Muzyki omawia stosunek Państwa do zagadnień życia muzycznego.

Wreszcie wymienić należy pismo poświęcone architekturze, a zwłaszcza zagadnieniom odbudowy Warszawy. Cztery numery „Skarpy Warszawskiej” pozwalają stwierdzić, że od pierwszego numeru, który niepotrzebnie usiłował połączyć literaturę ze sprawami odbudowy, do czwartego numeru, w którym znajdujemy już prawie wyłącznie artykuły fachowe, nastąpiło powolne przekształcenie się pisma. „Skarpa” jest dziś jedynym pismem architektonicznym, co ze względu na stan zniszczenia naszych miast a zwłaszcza stolicy nie jest obojętne nawet dla laików, którzy z zainteresowaniem przeczytają napewno artykuł Stanisława Hempla „Mosty w Warszawie” (Nr 4) lub Zygmunta Skibniewskiego (w tymże numerze) „Cykle urbanistyczne Warszawy”. Z niecierpliwością oczekujemy na pierwsze sprawozdania z działalności BOS, która winna być szeroko omawiana właśnie na łamach „Skarpy Warszawskiej”.

ph.

## JESZCZE W SPRAWIE STUDIÓW WYŻSZYCH NAUCZYCIELI

W rubryce „Noty” („Kuznica”, nr 12) ukazała się aktualna notatka („Studia wyższe nauczycieli”), domagająca się dopuszczenia jak najszybszych rzesz naszego nauczycielstwa do studiów wyższych. Sprawa ważna, ale także na naszych uniwersytetach niepotrzebnie i ze szkoda dla prawdziwie demokratycznej kultury skomplikowana! Nauczyciel „ludowy”, posiadający jedynie świadectwo ukończenia seminarium nauczycielskiego, nie może de facto być rzeczywistym studentem wydziału, w zakresie którego chciałby studiować wybrany przez siebie przedmiot. Może co najwyżej stać się „wolnym słuchaczem” dyscyplin pedagogicznych. Wielu nauczycielom, w kręgu których przebywam z racji mego zawodu, idzie o coś więcej. Chcą oni ukończyć normalnie polonistykę, historię, socjologię, czy filozofię i uzyskać pełnoprawny dyplom akademicki. Ambicje rozumne i dla kultury naszej inteligencji ze wszelkim miar pożyteczne.

Niestety, taka droga studiów jest dla nich zamknięta. Dlaczego? W imię jakich nakazów naukowych czy społecznych są zmuszeni albo do dezorientującego samouctwa, albo do korzystania z „laski” słuchania wykładów i biernego brania udziału w niektórych tylko ćwiczeniach i seminariach, bez prawa zdawania oficjalnych egzaminów? Kto na tym zyskuje? Czy naukowa ambicja wyższej uczelni? Czy „poziom” studiów uniwersyteckich. Nie, po stokroć nie! W rezultacie element nauczycielski, w danym wypadku najwartościowszy, odczuwa, że pozbawiono go demokratycznego prawa do pobierania wiedzy w szerszym zakresie i staje przed nieprzebytym zasięgiem, jaki niepotrzebnie rozciągnięto pomiędzy nim a sześciuśmiestymi posiadaczami gimnazjalnego świadectwa dojrzałości.

Ta selekcyjna zasada wprowadza szkodliwy podział na inteligencje kategorii a i kategorii b. Nasza nowa rzeczywistość społeczna domaga się usunięcia tych utrudnień i rozgraniczeń.

## „DZIESIECIOLATKA” I LICEUM

Jak wiadomo, radziecki system nauczania powszechnego w większych ośrodkach ludnościowych opiera się na szkolnictwie z dziesięcioletnim programem nauki. Absolwent takiej „dziesięciolatki”, otrzymawszy po złożeniu egzaminu końcowego odpowiedni „atestat”, ma prawo wstąpienia do uniwersytetu. Tego rodzaju system szkolny wprowadzony został na terenach Zachodniej Ukrainy i Białorusi, wchodzących w skład dawnego państwa polskiego. Tysiące młodzieży polskiej pobierało z pożytkiem naukę w tych szkołach, ukończyły je i uzyskały kwalifikacyjne atestaty. Młodzież ta przyjeżdża obecnie do Polski i zamierza wstąpić do uniwersytetu. Teraz jednak rozpoczyna się istotna siłanka. Władze uniwersyteckie nie chcą „honorować” tych dokumentów! Dlaczego? Atestat „sowiecki” nie jest równoważnościowy(!) ze świadectwem maturalnym naszym(!). Kandydat musi udać się do kuratorium i tam złożyć przed komisją weryfikacyjną dodatkowy egzamin z łaciny, historii i geografii.

Kandydat więc w rzeczywistości wisi dosłownie w powietrzu, bo nie jest ani studentem uniwersytetu, ani uczniem gimnazjalnym, choć w szkole radzieckiej uczył się solidnie, na co ma odpowiedni dokument, czas ucieka... i nic. Czyż, jeśli idzie np. o łacinę, nie mógłby dany kandydat dokonać odpowiedniego uzupełnienia w trakcie studiów, o ile łacina jest mu konieczna potrzebna? A jeśli idzie o historię i geografie...

Piszący te uwagi był nauczycielem w radzieckiej dziesięciolatce i zna dokładnie jej program nauczania. I oto co może zaznaczyć tu z całym naciskiem: obok przedmiotów ma-

tematycznie - przyrodniczych nauka historii i geografii traktowana jest w szkole radzieckiej znacznie szerzej i głębiej niż to ma miejsce w naszym gimnazjum i absolwent dziesięciolatki wie zapewne więcej w tym zakresie niż ten, kto ukończył liceum. A stale podkreślane zagadnienia socjologiczne w związku z tymi przedmiotami czyż są bez znaczenia? Nasze władze szkolne winny wziąć to pod staranną uwagę.

To samo dotyczy i radzieckich dyplomów uniwersyteckich, kwestionowanych na naszym terenie. Radziecki absolwent filologii np., składa obok przedmiotów wymaganych i na naszych uniwersytetach egzaminy z języka rosyjskiego, literatury powszechnej w b. szerokim zakresie, filozofii marksistowskiej i politycznej ekonomii, o czym nasz student z reguły nie ma pojęcia, a co mu w życiu bardzo się przyda. Gdzież więc źródło tego kręcenia nosem nad dyplomem radzieckim?

jt.

## HISTORIA NAOPAK

Z „Tygodnika Powszechnego” (Nr 33) dowiedzieliśmy się rzeczy sensacyjnych. Zwycięstwo lewicy we Francji jest niczym innym jak „uproszczonym przez prasę codzienną” gremialnym zwycięstwem katolików.

„Bezbożna szkoła dzięki „świeckiej” moralności wychowała pokolenie... pozbawione woli życia — (więcej trumien niż kofisek).” Słusznie! We Francji spadek liczbowy narodził się spowodowany wyłącznie odstępstwem od Kościoła katolickiego. Jak bowiem wiadomo, Bułgaria w Europie a Japonia na świecie miały największy przyrost ludności dzięki panującemu tam katolicyzmowi. Austria zaś doczekała się obserwowanego od kilku lat spadku przyrostu naturalnego na skutek przyjęcia protestantyzmu. Teraz dopiero pojać można, jaka czarna przyszłość czeka pod tym względem Polskę po unieważnieniu konkordatu i wprowadzeniu ślubów cywilnych. A tu jeszcze mówią o organizacji „bezbożnych szkół o świeckiej moralności”!

Natomiast ani jednego słowa w „Tygodniku” o społecznym i gospodarczym podłożu strajków francuskich i ubytku ludności we Francji.

„San Leon XIII... starał się przekonać Francuzów, że kościół godzi się i z demokracją i z republiką”. Skoro „nieświadomi” Francuzi nie chcieli słuchać przekonujących argumentów tego najliberalniejszego z papieży — posłuchajmy ich my:

Z encykliki „Rerum novarum”: „To przede wszystkim winno być uznane, że trzeba w cierpliwości znieść niezmienną dole ludzka. Niepodobna, aby się zrównało to, co jest u dołu z tym, co jest u szczytu. Prawda, dążyć do tego socjaliści, ale trudno walczyć przeciw naturze rzeczy”.

Z encykliki „Immortale Dei”: „Wolność myślenia i wolność prasy, żadnego nie znajdująca wędzidła nie jest istotnym dobrodziejstwem, lecz jest to źródło wszelkiego zła (multorum malorum fons et origo)”.

A w r. 1901 napisał: „Demokracja chrześcijańska musi bronić nierówności stanów, która jest właściwością dobrze uporządkowanych państw”. I: „Demokracja chrześcijańska musi odepierać ten zarzut, jakoby troszczyła się o dobro klas niższych, a pomijała wyższe”.

Czyżby „Tygodnik Powszechny” liczył na to, że wierni nie znają papieskich encyklik?

M. M.

## ROMA LOCUTA — CAUSA FINITA

Papież Pius XII udzielił wywiadu korespondentowi „Paris Matin”.

Na pytanie, dlaczego Watykan nie organizował pomocy dla wysiedlonych przez Niemców, Pius XII odpowiedział:

## Satyra

## Monolog ministra o upowszechnieniu literatury

O, gdybym kiedyś dożył tej pociechy,  
Żeby Przyboś zabłądził pod strzechy,  
Żeby wieśniaczki brały kotowrotki  
Pod Zagórskiego ulubione zwrotki,  
Lub Żółkiewskiego nucać artykuły  
Czasem i Kotta głab wielką odczuły,  
Żeby wędrowiec, chleb wyjmując z kosza,  
Nad walorami rozmyślał Miłosza,  
A znów ekonom, gdy pań przyjdzie trwoga,  
Duszę swą leczyl płodami Ożoga,  
Żeby pod lipą brzmiało jak muzyka  
To, co napiszą Sandauer i Wyka,  
Albo dziewczyna żeby piękna jaka  
W szloch uderzyła czytając Pięta...  
I aby starce w wieczory zimowe  
W półnie szptały wiersze Jastrunowe,  
A znów staruszki z radosnym okrzykiem  
Odpowiadały Adamem Ważykiem,  
I żeby doszła do ludu nauka  
Ta! którą krzewi kultura i sztuka...  
Myślę że trzeba na to lat niewielu,  
Co o tem sadsisz, powiedz, przyjacielu?!

Jan Huszcza

km.